

Corocznie 52 tomy.

Bezpłatny Dodatek wygódniowy do „Gazety Polskiej“.

Józefat Norwiński

BIAŁA GOŁĄBKĄ

Poemat dramatyczny w 5-iu aktach.

TOM II



WARSZAWA

Nakładem Redakcyi „Gazety Polskiej“
Druk J. Sikorskiego, Warecka 14.

1899.

Co tydzień książka
bezpłatnie.

BIAŁA GOŁĄBKA.

Józefat Nowiński.

BIAŁA GOŁĄBKA

Poemat dramatyczny w 5 aktach.

TOM II.

WARSZAWA.

Nakładem Redakcyi „Gazety Polskiej“

Druk J. Sikorskiego, Warecka 14.

1899.

Zbiory specjalne

K-3/72
BIEL. GŁÓWNA

— 165 —



2099 8/2

Дозволено Цензурою,
аршава, 30 Марта 1899 г.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0282060

336509

9/542/11

20, P

Scena 2.

Apartament nieboszczyka księcia—syna. Wejście na prawo w głębi. Naprzeciw portret. Tuż przy ścianie w głębi—stół. Na stole dwie lampy i dwa dzbany.

KSIAŻĘ (sam, do portretu syna, siadając naprzeciw za stołem).

Pilem dużo, ale z tobą jeszcze się napiję. Za stal, co mu wątrobę przewierci! (Pije) Słyszysz? Wojna. No, wiedziałeś przedemną: choć dalej, — do was wieści prędzej dochodzą (Śmieje się i pije). Za truciznę, co mu wnętrzości skręci! (Po chwili) Czemu ona nie chce kląć, jak ja? Jąby Bóg odrazu usłuchał, a mnie... Szczekam, jak pies ochrypli, lat tyle, a on zmywa krew twoją krwią innych i śliną nędznic takich podłych, że go nawet zgnilizną nie obdarzą. Tyle lat darmo rozsylałem po wszystkich krajach... a on tuż przy mnie łeb smoczy wynurza i po koronę naszą sięga. Dobrze, dobrze! Nieprawdaż, ty się cieszysz? Wiesz, że teraz już się nam nie wymknie,

Dukat na wojsko,—dwa na szpiegów i skrytobójców. Całą nań ich armię nasłałem. Zrobiłem wszystko, jakieś chciał, a jeżeli niedość, to gadaj, czy mrugaj!.. Dość? Rad jesteś? Moja krew płynie w tobie: jaką radością okrutną błyszczą ci oczy! (Z sarkazmem) Płyniel!.. (Po chwili uderza pięścią w stół). Czemu ona nie taka? (Bystro i ciszej). Ale ty się na niej nie mścij! Czego tak patrzysz surowo? (Zrywa się doń i wyciąga ręce). Gdybyś ją tknął, zdechłbym, jak pies, i któżby cię pomścił? On przyszedłby tu panować! W tym pokoju urządziłby sobie przed twojemi oczyma... Ach ach! (Chwyta się za głowę) Od dziecka przebaczać nie umiałeś, ale jej musisz, musisz, bo inaczej... (zaciska pięści i zbliża się. Nagle ogląda się z trwogą). Kto tu? (Głośniej) Kto tu? (Z westchnieniem ulgi) Nikogo! Tak ciemno po tych kątach. (Znowu siada, wpatrując się w portret). Czego patrzysz tak groźnie, pytam. To darmo: od niej ci wara. Ona nie może, nie umie. (Nagle). A możesz ty na mnie o nią zły? (Niby obojętnie). Toś głupi. Nie wlokłemże do trupa twego tej dzieciny słodkiej? Nie tarzałemże jej we krwi twojej? Nie skatowałem tego anioła królewskiego, jak wyrobnik pijany? Ale ty musisz, musisz... Każę ci, słyszysz? każę przebaczyć! Ona, co cię tak kochała!

Ona, co widziała wszystko!... Zmieszać modlitwę za ciebie z modlitwą za niego, niby wino cypryjskie z kalem!... Ach, to... to... (zapuszcza palce we włosy i nagle) Ale musisz! Może ona tylko błogosławić umie? Może to tak, jak i my, dyabeł wielony, tylko taki z innej służby? My z tobą potrafim nienawidzić za brak ręki lub oka, lecz jej musimy, mu-si-my przebaczyć. (Wesoło, po chwili). Co tam, głupstwo! Obejdziem się i bez niej. Rozumiem przecie, że kiedy ona, dając nam szę za twoją duszę, daje na drugą za duszę tego zebra parszywego, o którego psy twoje pyski sobie powalały, który mnie nawet wrzaskiem pocieszyć nie mógł, kiedy zeń kat skórę zdierał... Rozumiem, rozumiem wszystko, ale musimy!... Obejdziem się... Ot wypijmy lepiej zdrowie robactwa, co go stoczy! (Pije). Do każdej kropli wina, którą on do ust poniesie, domieszamy jadu, u węzłowią snu jego znajdzie się wierny nam sztylet: pół fortuny na to. Uśmiechnij się synu! Uśmiecha się książę Moleny? Uśmiecha się do swego najwierniejszego poddanego i sługi? Przebacza? (Otrząsa się i przeciera oczy). Co? Znów to spojrzenie, jak nóż zabójcy? Powiedziałem: darmo! Powiedziałem: nie dam! Powiedziałem: musisz! Powiedziałem: najwierniejszy, ale tu się zbuntuję... No,

dajmy temu pokój: za woń jego trupa! (Pije). Gdybym mógł sam zatopić cienką stal... aż do duszy! I tybyś chciał! O, chciałbyś, znam cię!... I mnie połowa z tobą, a druga też niebawem... Boję się, ale czuję... (Zegar bije). Raz! Schadzka skończona! Ostatni toast: za płomień piekielny, co mu serce ogarnie! (Cofa się ku drzwiom. Nagle się zatrzymuje). Więc przebaczasz jej? Nie? nie?! (Podnosząc głos). Zaklinam cię... O małym głupstwa nie palnął. Jeślibyś pragnął pastwić się nad rzerzającym cielskiem Carla Carrara!... (Wpatruje się błagalnie, potem przyklęka i chylać się). Widzisz, ja cię kocham! Widzisz, służę, jak pies! Widzisz, błagam! Chcesz, ze łzami będę błagał, ze łzami... (Podnosi głowę i z krzykiem). Nie? (Zrywając się). Nie?! A-a-a! (Rzuca się na portret i przebija go. Potem cofa się przerażony, chwiejąc się, szpada z brzękiem wypada mu z dłoni).

(Zastona).

S c e n a 3.

Na zamku. MATTEA ROSELLI I BIANCA.
ROSELLI (ruchem niecierpliwym odrzucając paletę i pendzel).

Więź tamte rysy. Błyskawica nieustanna. (Siada i opiera głowę na dłoni).

BIANCA.

Ta kopia piękniejsza jest od oryginału.

ROSELLI (zrywa się i składa ukłon głęboki).

BIANCA.

Jesteście kopistą naszym nadwornym?

ROSELLI.

Tak wasza miłość... wysokość...

BIANCA.

Winnam wam dzięki serdeczne za prześliczną kopię Madony Luina: dla mego to kaprysu jeździłście do Medyolanu.

ROSELLI.

To moje rzemiosło. Gdybym był wiedział, że to dla waszej wysokości...

BIANCA.

Piękniej nie zrobiłby sam Luino.

ROSELLI.

Wyrobnik od kopiowania dziękuje waszej do-
stoj... waszej wysokości za dobre słowo.

BIANCA (przyglądając się wciąż jego robocie).

Cóż za gorycz! Czyż to nie może być też
artyzmem?

ROSELLI.

Gdybym się przekonał, że los takie mi tylko gra-
nice zakreślił...

BIANCA.

Gorące pragnienie przestąpienia ich jest już po-
łową talentu.

ROSELLI.

Z nią tylko jednak...

BIANCA.

Zbytek nieufności do siebie bierzecie może za
brak tej drugiej połowy. Świat dla was otworem...

ROSELLI.

Jak dla drzewa ściętego.

BIANCA.

Cóż za mowa ponura. Tak młodzian, wzięwszy
do serca chwilowy kaprys kochanki... Nie ściągaj-
cież brwi tak rozpacznie, jakbyście byli wrogiem mi-
łości lub jej nie znali.

ROSELLI.

O, znam, znam. Ojciec mój był rzeźbiarzem...

BIANCA.

Wiele słyszałam o nim.

ROSELLI.

Wyrostkiem czternastoletnim wróciłem raz do
domu po długiej niebytności. W pracowni stał nowy
posąg: anioł z fletem w wyciągniętej ręce. Niby do
lotu złożonych skrzydeł nie widać było patrzącemu
wprost, a uśmiech taki był boski i kobiecy, taki
anielski i miłosny, — zem oszalał. Jak tylko ojciec
wychodził, zakradałem się do pracowni. Godziny
trawiłem u nóg tej... Nieraz tak długo rękę jej
w swojej trzymałem, aż mi się zdawało, że ta dłoń
się ożywia i mnie właśnie flet czarodziejski podaje,
że te usta mnie żywym uśmiechem witają. Odjeżdża-
jąc, jak lód pożegnałem wszystkich, a ze łkaniem

całowałem stopy posągu. Tęskniłem do niej, odmawiałem modlitwy do anioła stróża...

BIANCA (z uśmiechem).

Nawet marmur ożywał dla was, szczęśliwcy.

ROSELLI.

Sprzedano ją. Długo rozpaczalem, — i tak się skończyła moja pierwsza miłość.

BIANCA.

Ale pewno nie ostatnia.

ROSELLI.

O nie. Szalałem dla Madon, dla nocy gwiazdzistych, dla nieskończoności mór, dla szczytów śnieżnych, dla ksiąg, dla kobiet nawet—aż do gotowości oddania im życia. Pojmuje wasza wysokość: to jak byście chcieli poświęcić wstążkę lub koronkę.

BIANCA.

Cóż za bluźnierstwo.

ROSELLI.

Ale to wszystko nie to... (Spostrzega się). Mówię, jak szalenie. Wybaczcie mi, wasza wysokość: ja—kaś gorączka mnie trawi.

BIANCA.

Szczęście musi być losem tego, kto umie tak kochać.

ROSELLI.

Ono — w marzeniu tylko.

BIANCA.

Zapewne, kiedy się marmur kocha.

ROSELLI.

Zawsze. Dusza—i cierpienie: któż je rozłączy? To tak jak boskość i prawda.

BIANCA.

Ach, nie wierzę wam, nie. Można cierpieć, długo cierpieć, ale i szczęście przyjść może—piękniejsze od wymarzonego, a takie rzeczywiste, że wylewa się z serca, jak z czary pełnej, że chciałoby się wszystkim... wszystkim... Ale mnie też gorączka musi trawić. Tylko plotę od rzeczy przytem. Ale czuję, że cierpienie nie jest koniecznością życia.

ROSELLI.

Pewno duszę mam chorą. Nawet miłosne dotknięcie boli mnie, jak potrącenie brutalne, jak opatrunek rany.

BIANCA.

Czy dobrze słyszę?

ROSELLI.

Rzeczywistość zdaje mi się zbyt mocnym zapachem esencji wonnej, co upajając odurza i razi, marzenie zaś — to subtelna woń kwiatu, co pieszcząc upaja.

BIANCA.

Co za myśl!

ROSELLI.

To też może nie waryatem, jeno raną chodzącą zwać mnie należy, co może zresztą na jedno wychodzi. Śnać nie dla chaosu marności jestem stworzony. (Po chwili) Tylko marzenie!... W jego tylko krainie mi dobrze. Tam panuję — panowaniem nieziemskim. Żyjąc i umierając, w rozkoszy czy męce, w uścisku miłości czy nienawiści — mary me słuchają woli mojej, nie pomyslanej nawet jeszcze, dziwiąc mnie i zachwycając. Tam — cieplarnia, gdzie ogrodnik wszechświata w klimacie swego tchnienia hoduje pierwowzory, których nasienie karłami zaludni ziemię. I tak... jakbym ja w Nim, czy On we mnie. Tylko

marzyć! To też kiedy mi ten raj gaśnie, jestem jak mocarz-wygnaniec w obcym mieście, gdzie nieznanego a zadumanego lada sklepikarz potrąca.

BIANCA (patrzy nań ze zdumieniem).

ROSELLI (wpatrując się w nią).

A jednak.. może i prawdą jest, że rzeczywistość może być piękniejszą od bajki nacudniejszej, tak piękną, że się nie wie, czy to sen, czy jawa.

BIANCA (pokrywając wzruszenie tonem żartobliwym).

Zaczynacie się przyznawać. Gdybym miała władzę nad wami...

ROSELLI.

Każcie mi umrzeć, a obaczycie, czy posłucham.

BIANCA.

Nie mówcie o śmierci, bo życie przed wami.

ROSELLI.

Dość obrócić się do niego plecami, żeby zostało za mną.

BIANCA.

Obiecaliście mi być posłusznym: otóż zabraniam wam tak myśleć. Młodość...

ROSELLI.

Rafaël w moim wieku olśnił już świat i Italię.

BIANCA.

Żądza sławy — to cecha wielkich.

ROSELLI.

A więc bywam i ja wielki tą żądzą... kiedy się duch mój tak skurczy, że się mieści wygodnie w mojej piersi ludzkiej, kiedy się czuję najnędnym z nędznych, kiedybym dostrzegł, że mnie złotogłów zdo-
bi lub mury pałacu, że mię palcem pokazują: „oto on!“ Ale gdy w duszy ogień boski zapłonie tak rozkosznie, że aż nieznośnie, gdy rozsadzająca tę klatkę (kładzie dłonie na piersi) moc wewnętrzna zatka mi uszy, zamknie oczy na wszystko, co jest chlebem i próżnością, kiedy skroś nicość powszedniości odkryją mi się bezmiary — wszechświata czy własnej duszy — pełne muzyki niesłyszanej, kiedy błysnie z chaosu postać... i twarz, piękniejsza, niż serce tej nieskończoności, tej muzyki, tego ognia, a tak wyraźna, że się aż wpija w moje serce!... Ach, wtedy, wtedy... (Urywa nagle, patrząc dokoła z przestachem).

BIANCA.

Tak czuć może tylko... tylko...

ROSELLI (panując nad zmieszaniem).

Tylko meteor błędny, co światu nietylko słońcem — kagańcem nawet nie zapłonie.

BIANCA.

Nie wierzę, nie wierzę! Teraz wiem, że te płótna pozakrywane w waszej pracowni, z których się mistrz wasz... (Urywa).

ROSELLI (kończąc).

Wyśmiewa! Niech raduje swoje serce! Ale śmiałebym wam też kłamać? Niech wszyscy myślą, że tylko rzemieślnik nędzny, lecz wy...

BIANCA.

A wolno mi będzie zobaczyć?

ROSELLI (składając ręce błagalnie).

Jeszcze nie, jeszcze nie!

BIANCA.

Rozumiem: arcydzieło jeszcze nie skończone. (Roselli drgnąwszy, zachmurza się. Bianca bystro). To nie było potrącenie brutalne. Przebaczcie, jeżeli rany dotknęła...

ROSELLI.

Ach!

BIANCA.

Nie żartowałam bynajmniej. Jestem też trochę marzycielką i w oczach waszych i w słowach czuję coś, co mi nigdy uwierzyć nie pozwoli w waszą pospolitość.

ROSELLI.

Przecie wszyscy w nią wierzą. Mattea — to dziwak i głupiec, dzikus zarozumiały. Po raz pierwszy słyszę przypuszczenie, że jestem... że we mnie... To też choćby dlatego, żeby nie zawieść was, pani!..

BIANCA.

Świat pełen niesprawiedliwości, lecz go zdobędziecie.

ROSELLI.

Cóż mi po nim? Jeżeli dusza moja, rzuciwszy królewską swą tajemną, pójdzie jak pies przybędą zaglądać w oczy człowiekowi, skomlać i łaszcząc się dla ochłapów sławy lub strawy, niech ją kopnie nogą, oduczy. Kiedy Bóg w krzewie ognistym był tylko tu (wskazuje głową) — pragnąłem tworzyć tylko dla siebie

i w sobie, jak On ukryty. Ale serce woła: dla niej! dla niej! Ono wie, że ona sercem serca. I chciałbym dla niej... Niech tylko dla niej, dla Niego i dla mnie odkryją się przepaście cudu... (Załamując ręce) A potem myślę: nic, nic we mnie! Tylko miraże! I serce kona, jak wędrowiec w pustyni.

BIANCA.

Nie, niewolno wam wątpić o sobie. Dla tej ubóstwionej chociażby winniście walczyć i zwyciężyć. O najskrytszy z ludzi. Nikomu ani się śni, że taicie w sercu taką miłość, bobym pewno słyszała...

ROSELLI.

Tysiące drwin płaskich.

BIANCA.

Zapewne, wasz mistrz niebardzo was lubi, ale mówić o was lubi.

ROSELLI.

Któż na Rosellim nie wprawia swego dowcipu, niby psa na rannej zwierzynie.

BIANCA.

Coż to musi być za piękność, co tak świat i ży-

cie przesłania, piękność w aureoli muzyki niebiańskiej i nieskończoności.

ROSELLI.

Takim bezsilny. Tego właśnie odtworzyć nie mogę, choć rysy mam wciąż przed oczyma... jak w tej chwili. Pod pendzlem rodzą się żywe... Ale zawsze nie to. Czuję, że do ust tych śmiałym usta przycisnąć, że brak tej niewidzialnej dla nikogo aureoli... Jakiście to dziwnie powiedzieli. W te rysy zaklinam najpiękniejszą ludzką duszę, ale gdzież boska?!

BIANCA.

Ileż szczęścia i dumy czuć musi wasza wybranka: gotówam jej zazdrościć.

ROSELLI.

Madona!

BIANCA.

I jacyście wy szczęśliwi w swej dumie i samotności.

ROSELLI.

Ja?

BIANCA.

Geniusz...

ROSELLI.

Geniusz? geniusz?! Nędzne istnienie obdarzonej świadomością kropli. Opadając — rwał się do białego grzbietu fali, a u szczytu był łąką tęsknoty do niedoścignionych gwiazd niebieskich. Kropla, upojona tęczowo promieniem słońca i na powrót do głębi mrocznej skazana.. I kląć swój szął: czując w sobie całą gorycz oceanu, nie oddałbym burz tej otchłani, wszystkim złym wichrom otwartej, za słodkie oko jeziora, okolone gęstymi rzęsami drzew, tonące w blaskach spokojnych miesiąca i pieśniach słowicznych.

BIANCA.

Zdaje mi się, że was rozumiem, choć wiem, że mi się tylko zdaje: gdzieżbym mogła w dłonie (gest) morze zmieścić. Mnie też porywa coś czasem ku górze, ale wy jesteście po tamtej stronie granicy, od strony nieba, a ja po tej, od ziemi.

ROSELLI.

Nie, nie. Będąc najwyższą boskością ziemską!... (Spiesznie, żeby sobie nie dać przerwać). Nie umiem wyrazić... Nie mogę znaleźć słów... Bóg, chcąc dla świata być, głosem ludzkim przemawiał, wziął postać czło-

wieka; czemuż bowiem byłby inaczej dla myśli i uczuć ludzkich. Bo one nie latają, jeno szczeblują po drabinie Jakubowej. I wszędzie szczeblowanie—ku Bogu, ku szczytom własnego ducha. Szał zmysłów wie-dzie do zachwyty miłości, który o zmysłach zapomina. Tak piękność promienieje boskością, choć nieuchwytną w samych barwach i liniach... Trzeba ją w nie zakląć, nie ująć... I nie mogę tej aureoli... za którą już Bóg... Nie, nie umiem wypowiedzieć, nie umiem...

BIANCA.

W głowie mi się mąci... To porywa, przeraża, zachwyca. Jestem biedna ciemna dziewczyna.

ROSELLI (składając ręce).

Tyś istotą nadludzką, o pani!

BIANCA.

Nie i nie chcę. Mówiłam: czasem się rwie gdzieś dusza, ale częściej pragnę być jednym z małych tych... Wolalabym być listkiem palmowym. Pięć rośnię przeczystą i przeczyste promienie słońca, albo drzeć z rozkoszy w atmosferze przesyconej srebrnym światłem miesiąca, i wonią traw i kwiatów, i szeptami sióstr — liści.... Chronić od deszczu ptaszynę zblą-

kaną, lub od skwaru — jakiego motyla... Do mnie leciałby na wypoczynek rój muszek i byłabym całym światem drobnemu robaczceki świetlistemu.

ROSELLI.

Ach, mój Boże! ach, mój Boże! Drzewo to byłoby najświętszą ze świątyń. Najmędrsi kapłani ze szmeru tego liścia odgadywaliby wolę Bożą. Ludy by szły...

BIANCA (przerywając).

I wy chcecie mnie psuć komplementami, jak wszyscy?

ROSELLI.

Bóg mi świadkiem, że... że...

BIANCA.

Poprawcie się, i nie mówmy o tem więcej.

ROSELLI.

Nie chciałem wam... t. j. waszej wysokości.. Zapominam wciąż, z kim mówię. Wasza wysokość mi wybaczy. Nie dworakiem jestem lecz prostakiem nie nawykłym do obcowania z takimi osobami... **Przepraszam!...**

BIANCA.

Błahostka. Ilekroć zapomnicie o mojem dostojństwie, uczuję radośnie, że w głowie wam plonie krzew Boży, a w sercu (z uśmiechem)—ów wzrok.

ROSELLI (chwilę coś szepcze niezrozumiale drżącymi ustami).

Wasza dobroć... Dobroć waszej wysokości... Nikt mi nigdy... Przebaczcie... Nie wiem, co się ze mną dzieje, nie wiem, co mówię... Odgaduję... Od kilku dni jakaś gorączka duszę moją trawi... Odgaduję słowo... słowo zaklęcia... Pewno prawda, że szalony...

BIANCA.

Ta gorączka — to ogień twórczy. Chwila natchnienia — i ci, co was dziś wyśmiewają, jutro hołd wam oddadzą.

ROSELLI.

Co mi po nich. Cierpię, że mam zły instrument, na którym nie mogę wygrać melodi, co mi pierś rozsadza. Śmiechy i hołdy!...

BIANCA.

Ach, gdybym wiedziała, kto ona! Bądźcie tylko otwarci—raz w życiu!—a może znajdzie się dłoń, co

wam poda flet czarodziejski, i dłoń żywa... Świat was nie obchodzi, ale ona!...

ROSELLI.

Ach! ach! Gdyby mi ta dłoń, jak owa kamienna, dała fujarkę pastuszą, góry i lasy szłyby za dźwiękiem mego technienia... gdyby mię moc własnego zachwytu nie zabiła... (Chwyta się nagle za głowę). Co mówisz, szaleńcze? Co myślisz? Przyjdzież Jungfrau do twojej lepianki nędznej?

BIANCA.

Zkądże taka rozpacz?

ROSELLI (z wysiłkiem panując nad sobą).

Wasza wysokość... Wychodząc z koła czarodziejskiego, chwytam latarnię rozumu. Świecę i wzrok wyteżam... I wiem: jam król — tylko obłoku w błękitach, a tu — nawet szlachcicem nie jestem. I wiem: szczyt śnieżny nie dla żebraka sparaliżowanego.

BIANCA.

Cheecie? Wyproszę dla was u ojca szlachectwo, choćbym miała na klęczkach...

ROSELLI (przerywając gwałtownie).

Jak za tym pacholkiem stajennym? Te same lzy, przez które wtedy do serca Boga zajrzałem, i teraz w oczach ci błyszczą... Nie chcę nic, nie! Gdzie ja? Co się ze mną dzieje? (W obłędzie). Pieśń już rozwiła tuman złud? Świat obcy stopił się w moim? (Do Bianki) Daj rękę, jak ta... I niech ginie... nawet królestwo moje! Na jedno mgnienie pokochaj mnie... jak ja ciebie... choć jak Madona sierotę. (Chwyta ją za rękę).

BIANCA (szamocząc się).

Puście mnie, puście! Boże!... Powiem ojcu! (Wyrwa się i ucieka).

ROSELLI. (Wyras ekstaty namiętnej gasi zdumienie obłądne, potem zaciętość rozpaczna).

Nędznej pijawce italskiej poskarży się na miłość wielkiego geniusza Itali!...

Scena 4.

Przy altanie.

BIANCA i CARRARO.

BIANCA (wbiega i wita).

Co? Jeszcze mars na czole? A więc stanowezo

różnym bogom teraz ofiarujemy, bo w mojem sercu Amor radosny wszechwładnie panuje.

CARRARO.

Poco mnie było tak zwodzić? Poco było w przeddzień jeszcze tego balu szydzić ze mnie tak okrutnie, mówiąc: uciekajmy!

BIANCA.

Oby tylko Madona chciała czuwać nad nami tak, ja pragnę iść za tobą wszędzie na dobrą czy złą dolę, na tułactwo czy na śmierć nawet.

CARRARO.

Naprawdę? Naprawdę?

BIANCA.

Wiem, ojciec chce mnie wydać za panującego, ale prędzej grób, i gdybyś ty nawet porzucił mnie dla jakiego tronu...

CARRARO.

Co mówisz!

BIANCA.

...nie poszłabym za twoim przykładem. Nikt i nic mnie od ciebie nie oderwie. Nie usłuchałabym

ni ojca... (ciszej i wolniej) ni Boga. (Jakby do siebie).
A przecie tak gorąco się modlę...

CARRARO.

Bianko, Bianco!

BIANCA.

Myślisz, że godność moja książęca nas dzieli?
Tyle co ten kwiat. Jeżeli cię kolce jego ranić mają,
odrzucać precz dostojęństwo swoje, jak ręka moja to
ziele odrzuca. (Ciska różę)

CARRARO.

Słucham słów twoich jak muzyki: czuję, a pojąć
nie mogę.

BIANCA (tuląc się doń).

Tak, serce przy sercu! Groźba wisi nad nami,
lecz nas nie dzieli. Czegóż się namyślać? Czego
smucić? Nie będziemy mogli razem żyć, — zginiemy
razem.

CARRARO.

Razem, razem!... (Siadają na ławeczce).

BIANCA.

Unieś mnie daleko, daleko: przecie tyś orzeł.
a ja gołąbka twoja biała. W góry mojej matki..

Będziesz polował na dzikie kozły, a ja ci będę strawę
warzyła w lepiance czy jaskini, prosząc Madonę, by
strzegła mego myśliwca, by mu się stopa gdzie nie
pośliznęła, by nań niedźwiedź zniemacka nie wypadł.

CARRARO.

Tyle szczęścia! Tyle szczęścia i tyle nie-
szczęścia...

BIANCA.

Gdzież nieszczęście? Czyż jasne oczy aniołów
nie mrugają dziś na nas dawną czułością wesolą?
Czyż słowik nie tak samo cudnie lka z zachwytu nad
naszą miłością? My tu sami. Cały świat usnął, za-
pomniawszy o nas. Bądźmyż szczęśliwi. Jam two-
ja przecie. (Obejmuje go).

CARRARO.

Tak, w góry twojej matki. Tą szpadą wy-
walczę ci coś lepszego, niż lepiankę.

BIANCA (odsuwa się, grożąc palcem).

Niewolno zabijać, nie! Wolę lepiankę.

CARRARO.

Prawda. Niechże więc będzie i grota. Byleby
jeno świat zapomniał o nas nazawsze, jak my posta-

ramy się o nim zapomnieć. Będę pamiętał tylko, że w tobie, Bianco, mam cały świat swój, całe niebo swoje.

BIANCA.

Uciekajmy, uciekajmy! (Nagle, smutnym głosem).
Ach, mój Boże! Dziś muszę wracać wcześniej.

CARRARO (przyciągając ją ku sobie, cicho).

Nie wracaj wcale.

BIANCA (z przest్రachem).

Jakto?

CARRARO (szybko).

Konie czekają za murem. O świcie będziem za granicami Moleny. Stanie się, że będą widzieli jeźdźców, uwożących ku Sarmie kobietę w podobnym do twego stroju, my zaś staniemy tymczasem w Wenecyi: za trzy dni będziem na morzu, bezpieczni...

BIANCA (chwytając się za głowę, jakby zbierając myśli rozpierzchłe).

Czekaj, czekaj! Głowa mi się kręci... Nie, niepodobna... Tak nagle... Jutro... Nie: pojutrze, nawet za trzy dni. Tak nagle... Niepodobna... Muszę ojca pożegnać, choć niezegnana... Muszę... Muszę

zabrać krucyfiks, pamiątkę po matce: ostatnią pamiątkę. Obiecałam Lucii... Nie, jej odradzę, ale muszę pojechać do Leggio, pomodlić się. Pozwól, za trzy dni. Ach, gdyby mnie ojciec Vicenzio pobłogosławił, jak lekki ptak leciałabym z tobą na skrzydłach serca. Błagam: pczwól! Tyleśmy czekali: trzy dni jeszcze. Przygotuj wszystko. Ale muszę już biedz. Bądź mi wesół i szczęśliwy. (Całuje go, odbiega, znowu wraca). O małym nie zapomniala. Giovanni, mam do ciebie wielką prośbę. Spełnisz ją?

CARRARO (głosem smutnym).

Mów, zrobię wszystko, co każesz.

BIANCA.

Rozwesel się: trzy dni tylko! (Szybko). Tę oto sakiewkę (daje)—dziesięć dukatów w niej, skarby pańskie... Ale to aż na końcu miasta...

CARRARO.

Choćby na końcu świata. Ale kto? co?

BIANCA.

Daj pod pretekstem zamówienia...

CARRARO.

Komu?

BIANCA.

Kopista nasz porzucił służbę. Chciano go wy-
dalić: może przeczuł. A przedtem też był w wielkiej
biedzie. Nie mam kogo poprosić: tu go tak wszyscy
nie lubią.

CARRARO.

Pewno nic dobrego. Słyszałem, śmieją się z nie-
go wszyscy. Zarozumialec i narwaniec!...

BIANCA.

Ach nie, nie! Jestem pewna, że to piękna du-
sza i żal mi go bardzo.

CARRARO.

Nad kim się ty nie ulitujesz?

BIANCA.

Więc pójdziesz? Tylko to daleko gdzieś, sama
nie wiem gdzie. (Całuje go znów i chce odejść)

CARRARO (zatrzymując ją).

A zabierz sobie tę sakiewkę, już jakoś to będzie.

BIANCA.

Nie, nie! Chcę koniecznie, żebyś dał moje...
Tylko niech nie uczuje, że to jałmużna. Jak trudno

się oderwać! (Ściska go, odbiega i znów wraca). Nie po-
rzucisz mnie?

CARRARO.

Ja? Ciebie?

BIANCA.

Nie uciekniesz zato, zem nie towarzyszką księ-
żniczki?

CARRARO.

Zkąd myśl taka?

BIANCA.

I nie będziesz się starał przestać kochać, za-
pomnieć?

CARRARO.

Bianko! Bianco! Ulituj się!

BIANCA.

Nie? Nie? Bo, widzisz, Giovanni, Kocham i boję
się... (Tuli się doń).

CARRARO (rwącym się głosem).

Bianko, co ty mówisz! Zapomnieć? Ach, jak
to skończone, jak skończone! Nie mógłbym... Aniby

cheiał. O, nie, nie! (Coraz płynnij i goręcej). Gdyby jaka wróżka dobra, widząc... widząc straszny wir, w jaki ta miłość porywa duszę moją, — rzekła: „Żal mi ciebie, biedny szaleńcze! Chcesz? Jedno skinienie mej różdżki,—a jak ze snu obudzi cię z tego kochania rozpaczego rzeczywistość dawnych a ziszczonych pragnień.“ Rzuciłbym przekleństwo i uciekłbym w trwodze. (Bianca mocniej się tuli) Gdyby ta miłość zgasła w mojej duszy, stałbym się odrazu, jak ziemia, której słońce na wieki zagasło, jak statek bez gwiazdy przewodniej wśród bezmiarów wodnych, jak łódź bez steru i wiosła, jak człowiek, któremu wszystko, co jest — nie jest wcale. A tak — niech mam nadzieję, że raz jeszcze w życiu — choćby raz jeden tylko zawrą cię, jak teraz, w uścisku ramiona moje, — oddamże los swój za czyjeś losy najszczęśliwsze? za najcudniejsze losy, jakie bajka wymyśleć zdoła? Nawet nadzieja dotknięć a ręki twojej, chociażby ujrzenia cię zdaleka, wypełniłaby już tak duszę moją, że zostałoby w niej miejsce na cienie tylko innych myśli i pragnień. Nawet bez nadziei — byłoby to piekło, wielkie wielkością mąk i wspomnień, gdzie byłbym bogiem cierpienia... Ale bezmiar płaskości i błahości!... Brrr!.. Wolalbym, zatraciwszy pamięć, przerodzić się w mysz lub żabę.

BIANCA.

Giovanni! Giovanni! I ja ciebie kocham.

CARRARO.

Powtórz! powtórz!

BIANCA.

Kocham, kocham, kocham!

CARRARO.

Ach! Jeżeli Bóg mnie potępi i strąci, a wpród z korzeniami nie wyrwie z serca „kocham“ twego...

BIANCA (zakrywając mu usta dłonią).

Cicho, cicho, jedyny! (Po chwili). I jam też w wir groźny porwana. I kocham snąć też nietylko słodycz twego pocałunku, lecz i lzy tęsknot i niepokojów naszych, bo nic, nic z tego nie oddam, za nic nie oddam.

CARRARO.

Kiedy dusza moja ze łkaniem czołga się po ziemi przed marzeniem o tobie, — jeszcze najszczęśliwszy z ludzi, bo wszelkie inne szczęście ludzkie, jak szmatę bym brudną odrzucił. Gdybym był w gronie królów, czułbym się, jak Harun al Raszyd w gronie żebraków: ten się przechwala nową torbą, tamten

almużną obfitą, ów pasem skradzionym lub kurą, ja ja milczę, żem władcą władców. Kiedy pomyślę ona, Bianca moja, gołąbka moja biała, ona, ona mnie kocha, serce wzbiera dumą taką niezmierną, że ja chyba bogem tylko zapragnąłbym okazać.

BIANCA (tuli się doń i po chwili).

Może dlatego Bóg zsyła nam tyle walk i niepokojów, że dusza ludzka nie zniósłaby takiego ogromu szczęścia.

CARRARO.

Może, może!

BIANCA.

Chwilami straszno mi. Tyle dusz wielkich skonało w męce i hańbie, tyle serc wiernych rozbiła zdrada lub śmierć ukochanych, zkądżeby więc mnie?

CARRARO.

Gdyby szczęście było nagrodą, — twoją byłaby cała rozkosz ziemi i nieba.

BIANCA.

Nie, nie! Chcę, żebyś myślał, żem dobra, ale wiem, żem niewarta, nie!

CARRARO.

Tyś niewarta? Pamiętasz, nawet nad Niemcem tym płakałaś, jakgdyby całe ich stado warte było jednej lzy twojej.

BIANCA.

Widzisz, jak ty mnie nie znasz. Gdyby go był kto inny zabił!... To nad tobą płakała miłość moja. Kiedym usłyszała o tem, stanęła mi w oczach twarz zamordowanego brata: odtąd w snach ją widuję. Ach!... I teraz mignęła mi w mroku. Taka zacięta i surowa... (Po chwili). Patrz jak się świat zamroczył!... Widziałam wtedy z okna wszystko. Straszna chwila. I najokropniejszym było to, żem nie wiedziała, za kogo się modlić: czy za brata, czy za żebraka, czy za... Co ci, Giovanni? Będzie burza: takie chmurzyska czarne... Miły! (Bierze go za rękę i wnet puszcza ją z przestachem). Szttywna i zimna jak jego wtedy... (Tuli się doń). Co za wiatr przejmujący... Porusz się! Okryj mnie swoim płaszczem (Rozchyła płaszcz jego i okrywa się). Słyszysz? Teraz straszną jakąś bajkę szepczą liście. Czy zawsze o miłości naszej? Może o śmierci? czyjej? Naszej? (Grzmi) Ach, boję się iść sama. Odprowadź mnie do

furtki. Chodźmy tak pod jednym płaszczem. Ożyj, Giovanni! Obejmij mnie, otul skrzydłami: przecieżem twoja biała gołąbka. Giovanni! Białej gołąbce straszno i zimno! (Wychodzą).

(Zastona).

Scena 5.

Pracownia Rosellego. Drzwi w głębi po lewej stronie. Roselli, Carraro, potem Pereto, Lapi, Sera i sługa Pereta.

CARRARO (wchodząc).

Wy jesteście Mattea Roselli?

ROSELLI (potwierdza głową, nie patrząc).

CARRARO.

Opuszczając Molęgę, chciałbym mieć po niej pamiętkę. Czybyście nie mogli?... (Dostrzega obraz tuż przy drzwiach). Ach!... (Szeptem) Bianca!

ROSELLI.

Maria.

CARRARO (jakby obudzony).

I to wy? wy?...

ROSELLI (wskazując obraz).

Maria, piękność wiecznie płodna a wiecznie dziewicza, matka wieleń się Bóstwa dla patrzących zmysłami dusz.

CARRARO (nie słysząc).

Ona!

ROSELLI.

Madona — źródło przeczyste boskości na ziemi. (Po chwili). W oczach niema miłości, bo niema już nigdzie nienawiści. Ni litości w nich błagalnej, bo nigdzie niema cierpienia, ni grzechu. Ni smutku w tych rysach, bo we wszechświecie niema zła: znikło, jak wrzód ze zdrowego ciała. Oczy wzniesione, jak serce pełne zachwytu, ale nie ku tronowi Najwyższego, bo Bóg wszędzie i wszystko — Bóg. Wieczność i nieskończoność — to harmonia, spokój i światło. Wieczność, nieskończoność — harmonia, spokój, światło.

CARRARO (wciąż wpatrzony w obraz).

Jakaż moc geniuszu mogła stworzyć takie dzieło?

ROSELLI.

Moc! moc, którą jedno technienie ust rozproszy-

łoby, jak listki kwiata najdelikatniejszego. Moc ludzka! Wiem, (wskazuje obraz) broniła... mnie broniła, kazała od siebie prosić, żebym został... Ale jedno słowo... jedno słówko... nawet nie ojcu, a nie skończyłbym był nigdy...

SERA (wchodząc. Z nim Pereto i Lapi).

Otóż i jesteście w tym przybytku wilgoci, szczytów i sztuki. Patrzmyż owych pereł bezcen.. (Dostrzegłszy obraz). Co to?

PERETO (oddając płaszcz służce, dostrzega też obraz, patrzy przez chwilę i nagle do Rosellego).

To wasze? Co chcecie za niego?

ROSELLI (głosem bezdzwięcznym).

Nie sprzedaję.

PERETO.

Dam tysiąc dukatów. (Sera ciągnie go za rękaw).

ROSELLI (nie patrząc na obecnych, przeczy głową).

PERETO.

Dwa razy tyle! (Roselli jakby nie słyszał). Zre-sztę — prawda. Nieśmiertelne twory geniuszu nie mają ceny. Gotówem dać najwyższą sumę, jaką kiedykolwiek za obraz zapłacono. Słyszycie?

ROSELLI (tymże głosem).

To dla klasztoru w Leggio.

PERETO.

Co? Ten cud ukryć w mrokach kaplicy klasztornej? Mnichom — to arcydzieło, godne cesarza i papieża? Cóż może wam dać klasztor?

ROSELLI.

Więcej, niż wszyscy mocarze świata — spokój.

PERETO.

Co to znaczy? Nic nie rozumiem.

ROSELLI.

To port, co skolataniej łodzi mego żywota schronienia użyje.

PERETO.

Jakto? Wy — do klasztoru? W kwiecie wieku?... Wielki geniusz, którego jutro otoczy rozkosz sławy, bogactwa i miłości?!

ROSELLI.

Pragnę tylko zapomnienia i ciszy. (Po chwili, barwniejszym trochę głosem). Pełna słońca cela... W ramach okna obraz mistrza mistrzów: pola i wody, i gaje...

DWAJ MNISI (wchodząc).

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

ROSELLI (mocnym głosem).

Na wieki wieków. Amen. Weźcież i ten obraz, bracia. (Podejmuje leżące przed obrazem na ziemi pendzle i paletę i wychodzi za mnichami. We drzwiach, przypomniawszy sobie, odwraca się i naśladując jakgdyby towarzyszy). Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

SŁUGA PERETA (po chwili milczenia).

Na wieki wieków. (Drzwi się zamykają).

PERETO.

Zaczekajcie! (Patrząc po obecnych). Co to jest? Czy to sen? Przecie to szaleństwo!

SERA (starając się ukryć zmieszanie).

Mówiłem waszej dostojności, że mu tego... (Kręci palcem koło czoła).

PERETO.

Ależ to niemożliwe. Opowiem Ojcu świętemu... Jeżeli nawet poczynił ten człowiek jakie przyrzeczenia, — będą rozwiązane: ręczę...

CARRARO.

Czy tylko Roselli się zgodzi

PERETO.

Wiecież, co mu jest?

CARRARO.

Może. Z tego, co on ma w sercu, nie uleczy go Papież: chyba Bóg. (Wychodzi).

(Zasłona).

BIANCA.

Co zginęło, Giovanni? Zkąd ta rozpacz, Giovanni? (Jakby do siebie). Giovanni: nie wiedziałam, że to tak pięknie brzmi. Dziwne imię: można je godzinami powtarzać.

CARRARO.

Więc już nie chcesz? już nie pojedziesz?

BIANCA.

Przecież wojna, Giovanni, jakżebym więc mogła!... Mój Boże! Nawet ja się cieszę. Gryzę się tą radością, ale się cieszę.

CARRARO.

I czego? czego?

BIANCA.

Nie rozumiesz? A przecie to takie jasne. Możesz-że nie zaćmić wszystkich, nie zadziwić świata? Powtarzam sobie: minęły czasy rycerzy bajecznych, co w pojedynkę wojska zwyciężali, otrzymując w nagrodę królestwo wraz z ręką królowny uratowanej, a wciąż mi się pomimo to marzy twój tryumf i wdzięczność mego ojca.

A K T IV.

Scena I.

Przy altanie. BIANCA i CARRARO.

(*Jasna noc*).

CARRARO.

Czemu tak późno? Wszystko czeka oddawna. Spieszmy! (Obejmuje ją i pociąga).

BIANCA (opierając się).

Jakto? Czyż nie wiesz?

CARRARO (puszczając ją).

Wiem, wiem, wiedziałem. Czemużem cię wtedy siłą nie porwał! Wszystko zginęło!

CARRARO.

To miraże! A tam żywe konie grzebią ziemię niecierpliwemi kopytami, otwiera się przed nami świat swobody, miłości, zapomnienia... Ach, czemuś mnie wtedy nie usłuchała!

BIANCA.

Co mówisz? Kiedym usłyszała, że wojna ogłoszona, pobiegłam do swego pokoju i pół dnia leżałam krzyżem przed krucyfiksem cudownym matki nieboszczki. Wszyscy myśleli, że modłę się prosząc, a ja dziękowałam. Wiesz za co? Że mi Bóg dał natchnienie i siły oprzeć się pokusie. Gdybyśmy byli uciekli, trzeba byłoby wracać—i jak? Pomyśl: w niebezpieczeństwie groźnem porzucić wszystkich, zabierając najdzielniejszego rycerza, największą ich nadzieję!...

CARRARO.

Ach, Bianco, Bianco!

BIANCA.

Wiesz, tak jakoś dziwnie zmieszało mi się w duszy... Ten stary ojciec, taki dziś pełny złych przeżyć, taki skłopotany, taki zgnębiony—jest teraz ni-
by mojem dzieckiem, a ty, taki wielki i mężny, i czu-

ły—jesteś niby moim ojcem. Rzuciłżebyś wnuczątko swoje na pastwę złych losów, ojcze mój mocny i drogi?

CARRARO.

Czyń, co chcesz. Jestem twój. Wiedziałem
Niech się dzieje twoja wola

BIANCA.

Boża, Giovanni, Boża. Co za szczęście: Opatrzność się nami opiekuje. Gdyby nas gdzieś daleko dosięgła wieść o wojnie tej, o klęsce może ojca, złamanego jeszcze w takiej chwili ncieczką córki jedynej... Mrowie mię przechodzi na myśl samą... Nawet pocałunek twój połunemby się stał i trucizną. Skoczyłabym chyba do morza...

CARRARO.

Tak Bóg chciał, niech więc tak będzie.

BIANCA.

Będziesz się opiekował mojem dzieckiem?

CARRARO.

Nie rozdieraj mi duszy! (Rzucając się jej do nóg).
Ty nie wiesz!...

BIANCA.

Wiem, wiem. Wiem, że Bóg mi zesłał archanioła swego.

CARRARO (obejmując jej kolana i podnosząc twarz przerażoną).

Przez litość!.. przez litość!.. Nie mów tak!

BIANCA (pieszcząc dłonią jego włosy).

Otóż będę tak mówiła. To ty nie wiesz, nie pamiętasz. Przypomnij sobie tylko dobrze. Otoczony rojem aniołów, niby obłóczkami srebrzystymi, oparłszy stopy na kobiercu utkany z najczystszych błękitu, Bóg siedział na tronie, wykutym z najbielszych promieni słonecznych, i spoglądał ku ziemi. Wzrok jego prześlizgnął się po polach Italii, krzepiąc serca nieszczęśliwych, zboże i ręce biednych, i nagle padł na pewną smutną białą gołąbkę: znasz ją, to ja, twoja Bianca, twoja i Jego. I rzekł Pan do najbliższego i najpiękniejszego archanioła o skrzydłach najszerszych: „spójrz w dół, ku Italii. Widzisz tam, w Molenie, tę biedną dziewczynę, biedną, choć ludzie myślą, że szczęśliwa, bo księżniczka. Patrz, jakie straszne niebezpieczeństwa jeżą się dookoła niej. Żal mi tego dziecka, bo ufa mi, Koch.

i wierzy, jak umie. Idź, otocz ją spokojem swych skrzydeł i blaskiem swego miecza. Chcę dać jej w chwili życia chwilę szczęścia. Potem, jak piastunka dziecko, przyniesiesz mi w ramionach tę duszę: daję ci ją“.

CARRARO (zrywa się, zalamując ręce).

BIANCA (tuląc się doń, ciszej).

To też jam twoja, bo wiem: On ci mnie dał.

CARRARO (ciężko dysząc).

Dobrze więc!.. Niech tak będzie! Jam nędznik, jam nędznik...

BIANCA (z przestraczem i wyrzutem).

Giovanni!

CARRARO.

Jam nędznik, ale jeżeli trzeba, otoczę cię blaskiem swojego miecza. Chyba po trupie moim...

BIANCA

Wierzę, wierzę. I sama posyłam cię, i nie a nie się nie lękam o ciebie. Dziwię się temu, że się nie lękam, ale się nie lękam. Zdaje mi się, że gdyby było trzeba, mógłbyś pinie najwyższe z korzeniami

wyrywać. Ciebie moce nadziemskie będą chroniły,
a ty nas.

CARRARO.

Modlitwie twojej ufam więcej, niż swojej sile.

BIANCA.

Tylko jeszcze jednej rzeczy, tam podsłuchanej,
zapomniałam. Gdy archanioł miał się już do odlotu,
On dorzucił: „ale nawet wrogów jej nie zabijaj!”

CARRARO.

Nie zapytałże archanioł: „jakże więc mam ją
bronić mieczem, o panie?”

BIANCA.

A pan na to: „jeżeli zabijesz,—znaczy czas na
tę duszę przyszedł, jeno ty tego nie chcesz. W osta-
tecznych nawet razach — zrań. A niech cię Bóg
bronit“..

CARRARO.

Także Pan sam o sobie mówił?

BIANCA.

Niewolnoż mu wedle swej woli mówić? „A niech
się Bóg broni niewolnikom krzywdę czynić!”

CARRARO.

Aniele ty mój, aniele stróżu!

BIANCA.

„Pamiętaj bowiem—dodał—że to bracia rodzeni
tego biednego dziecka z Moleny, synowie jednej oj-
czyzny“. (Wybucho płaczem i po chwili). POCO to
wszystko, poco? I tam, i tu tak samo śpiewają i mo-
dlą się. Gdybym mogła krwią własną zażegnać...
Ale co ci, Giovanni mój? Biedny! Twojem sercem
szlachetnem wstrząsa tak boleśnie owa kropla krwi
włoskiej. Nie martw się, cóż robić: wola Boża!
Myśmy tego nie chcieli. Ale pora mi: świt niedale-
ko. Bądź zdrow, jedyny! Uściśnij mnie! Nie tak!
Szczerze, jak dawniej: ot tak (Obejmuje go i całuje).
Przecieżem ta sama. (Ściska go i odbiega).

CARRARO (sam).

Boże, ratuj duszę moją! Daj śmierć w pierw-
szej bitwie!... Nie mogę znieść, nie mogę, nie mogę!
Wszystko to ja!

(Zasłona).

Scena 2.

(*Ranek*).

Altana. Bianca, Silvia, Lucia, później książę i Lapi.

LUCIA.

Jacy szczęśliwi ci mężczyźni.

BIANCA.

Czegóż im tak zazdrościsz?

LUCIA.

Pewno nie bród i wąsów kolących.

BIANCA.

Chodź drożynami ubitemi, to cię nie podrapią krzaki ostre. Zapytaj na przykład Siliwią, czy ją obchodzi szorstkość zarostów męskich?

SILVIA.

Skromność zabrania mi myśleć o takich rzeczach, szacunek zaś dla osoby waszej wysokości...

BIANCA

Ach, daj mu pokój! Tyle myśli smutnych się ciśnie, a miałybyśmy się same na nudne gwałtem wysilać? (Do Lucii). Czego więc zazdrościsz właściwie?

LUCIA.

Wojny. Co to musi być za rozkosz: krzyki, śpiewy, szczęki, brzęki, trąby, rzenie koni!...

BIANCA.

Rany i śmierć.

LUCIA.

A zwycięstwo? a pogoń za nieprzyjacielem?

BIANCA.

A porażka i pogoń nieprzyjaciela?

LUCIA.

Jabym się tam nie dała!

BIANCA.

Jakto? Calej armii? Przecie między Sarmańczykami są też ładne chłopcy.

LUCIA.

I ty—w takim humorze?

BIANCA.

Niby przed wojną? Bo, widzisz, ja w nią nie wierzę: ale to nie a nie!

LUCIA.

Jakto? Przecie już ogłoszono...

BIANCA.

Ogłoszą co innego. Mam przecucie, że w ostatniej chwili zerwie się wiecher, co rozpędzi te groźne chmurzyska.

LUCIA.

Chyba sen jakiś proroczy miałaś tej nocy, bo wczoraj jeszcze byłaś smutna—śmiertelnie.

BIANCA (oblewając się rumieńcem).

Sama nie wiem, ale... ale...

LUCIA.

Ja tam nie podzielałam ani wczorajszej twojej rozpacz, ani dzieję przecuć dzisiejszych, a martwię się stale, choć miernie, że wszyscy chłopcy, godni tego miana, idą w pole, bo z tych, którzy zostaną,—niewielka pociecha: jedni tacy młodzi, że się jeszcze nie stali mężczyznami, drudzy zaś tacy starzy, że nimi już być przestali. Czemuż nie mogę iść do Sarmy z innymi.

BIANCA.

Poproś ładnie, może też weźmie cię który, ogoliwszy się wprzód naturalnie.

SILVIA.

Wesołe to życie wiwandierki czy kantinierki: będzie ci słodko pocieszać strudzonych rycerzy.

LUCIA.

Twoja skromność tak dużo wie o tem? (Do Bianki). Broda odrastająca najbardziej kole, a na wojnie...

MARGRABINA MALFI (wchodzi i głosem drżącym z gestem melodramatycznym do Bianki).

Biedna ty moja dziecino królewska!

BIANCA.

Czemuż znów litujecie się tak nademną, margrabino?

MALFI.

Tylko niewinność anielska może z taką ufnością spokojną patrzeć na jeżące się dokoła przepaście.

LUCIA (cicho do siebie).

Łatwiej mówić o takich zjawiskach, niż je oglądać.

MALFI (zmierzwszy ją wejrzeniem wzgardliwym, wciąż patetycznie do Bianki).

Gdy się wierzy, iż w chwili ostatniej Bóg zesłał swego archanioła...

BIANCA (z przejściem się).

O, tak!

MALFI (tonem zdumienia dziwnego).

Jakto? Już wie wasza wysokość?

BIANCA.

Wiem oddawna, margrabino.

MALFI.

Myslałam, że pierwsza oznajmię waszej wysokości tę nowinę radosną, lecz na zamku tym plotkarstwo tak kwitnie... (Spojrzenie w stronę Lucii).

LUCIA (jak wprzód).

Przy takiej ogrodniczce...

BIANCA (jednocześnie, ze zdziwieniem).

Jaką nowinę?

MALFI.

Oczywiście o księciu Orvienny.

BIANCA.

W jakimże tańcu spotkał go przypadek?

MALFI.

Więc to tak, wogóle, mówiła wasza wysokość? niby z przecucia? Otóż powiem: ten wspaniałomyśl-

ny pan, pełny stałego ubóstwienia dla waszej wysokości...

BIANCA.

Oboje zatem stali jesteśmy w uczuciach dla siebie.

MALFI (kończąc)

...Przybył z posiłkami licznymi, by walczyć w kolorach swej damy za Molenę i miłość swoją.

BIANCA.

Jestże obawa, by tej miłości kto nie podzielił, jak to wróg chce z Moleną uczynić? Pewno też jakiś sen proroczy powiedział temu panu wspaniałomyślnemu...

KSIAŻĘ (wchodząc z Lapim, do Bianki)

Więc to jest ten upodobany przez ciebie zakątek. Dzień drogi od pałacu. Fantazya dzika! No, ale cóż? Nie jesteś zbyt wzruszona rycerskim zjawieniem się wiernego wielbiciela?

BIANCA.

Nie, ojcze.

KSIAŻĘ.

Pójdź-no zobacz: przyprowadził tysiąc ludzi wybornie uzbrojonych i umundurowanych — jak na bal..

BIANCA (siląc się na spokój i wesołość).

Każ-że im przetańczyć, ojcze, i puść do domu, jeżeli bowiem, na wzór pana, ducha też mają „jak na bal” — nic po nich w polu.

KSIAŻĘ.

Co? Ty też potrafisz kęsać? Czyż nie przyjemniej całować? Przyjrzyj się lepiej księciu Orvieny, a przekonasz się, że to mężczyzna od stóp do głów.

BIANCA.

Nie wyłączając nawet ręki i serca?

KSIAŻĘ (surowo).

Dość żartów. Bardzobym pragnął, by ci się on podobał.

BIANCA (nagle blednąc, po chwili).

Wiem, że książę Moleny za dumny jest, by sprzedać córkę za posiłki, choćby się na tysiące dukatów liczyły, skoro ostatni wyrobnik...

KSIAŻĘ (niecierpliwie).

Co mi pleciesz o sprzedaży? (Opanowując się, tonem żartobliwym). Jeżeli masz na myśli zamęście, — nie ganię ci tego: któraż dziewczyna o tem nie myśli. (Do panien). Nieprawdaż, dzierlatki?

LUCIA (z ukłonem).

Przyznaję się waszej wysokości za nas obie, bo towarzysze mojej skromności zamyka usta.

KSIAŻĘ.

Ucz się jej od niej. Możecie odejść, panny. (Do Bianki). Nikt cię przecie związanej do ołtarza nie powlecze. (Pełna męki twarz Bianki zlekka się wypogadza). Oddam rękę twoją temu, komu ją sama oddać zechcesz, (Nagła radość twarz jej zalewa)... bo wiem, że księżniczka Moleny za dumna jest na wybór jakiegoś przybłądy, niegodnego jej rodu. (Bianka znów się mieni). Ale nie o to mi w tej chwili chodzi. Powinnaś chyba zrozumieć, że nie czas teraz na zniechęcanie i odstręczanie przyjaciół i sprzymierzeńców. I tak głowa mi pęka od kłopotów: zechceszże mi ich przysparzać? Nie nakazujeż ci sam obowiązek gościnności być uprzejmą dla tych, kogo dobra wola pod dach nasz sprowadza?

BIANCA.

Ależ, ojcze!...

KSIAŻĘ.

Rób, jak chcesz: we mnie znajdziesz zawsze powolnego i słabego ojca, ale pamiętaj, że zmniejszać liczbę moich sprzymierzeńców w takiej chwili...

BIANCA.

Czegóż żądasz od mnie, ojczu?

KSIAŻĘ.

Nie wypędź tego, jak tamtego—i tyle.

BIANCA.

Postaram się, ojczu. Wolno mi odejść?

KSIAŻĘ.

Idź. (Patrzy jej w ślad). Zostańcie, margrabinol (Do Lapiego, gestykując). Ona się postara, słyszysz? Postara się nie wygnać księcia Orvienny! (Bystro do margrabinie). W kim się kocha wychowanka wasza?

MALFI (z przerażeniem).

Cóż znów, wasza wysokość! Kocha się? Jej wysokość miałyby się kochać?

KSIAŻĘ.

Cóż was tak dziwi? Stare baby pozwalają sobie na to niekiedy, nietylko młode dziewczęta. (Do Lapiego). Uważałeś, jak się mieniła, kiedyś mówił o jej małżeństwie przysłem? (Lapi potwierdza głową). Niczeście nie dostrzegli, margrabinol? Posądziłby, was kto, że się nie znacie na tych rzeczach.

MALFI.

Mój Boże jedyny! Co noc chodzę, słucham przy drzwiach...

KSIAŻĘ (niecierpliwie).

Niepokoi mnie to, co się dzieje w sercu waszej wychowanki, nie zaś w jej sypialni.

MALFI.

Ależ raczy wasza wysokość...

KSIAŻĘ (do Lapiego).

Uważałeś, jak wyraz „przybłęda“ zdmuchnął radość z jej twarzy? (Do Margrabinie). Możecie iść do niej, skoro nic nie wiecie. (Malfi wychodzi z ukłonem).

LAPI.

Jej wysokość bardzo jest zawsze łaskawa dla hrabiego du Lieu, który, jak na cudzoziemca, tak pięknie mówi po włosku, a takie ma rysy, jakbym go znał od młodości.

KSIAŻĘ.

Co mówisz? Hm! Jeżeli to on wpadł jej w oko, to... trzeba teraz pamiętać przedewszystkiem o wojnie. Nie pora chwytne, choć szkodne, psy przed samem polowaniem wieszać. W każdym razie, jeżeli

przypuszczenie twoje się sprawdzi, nie miałby poco wracać do Moleny ten Francuz.

LAPI.

Na wojnie łatwo sposób się znajdzie.

KSIĄŻĘ.

Naturalnie, pod koniec. Co się zaś tyczy tego osła z Orvienny, to jeżeli mu się tak chce Bianki, niech prosi Boga, żebyśmy przegrali, w przeciwnym bowiem razie Ferrata byłaby daleko odpowiedniejszą.

LAPI.

Oczywiście, jeżeli tylko jej wysokość...

KSIĄŻĘ.

Tak, to prawda! I pomyśleć, że ja, co nie sobie nie robię z cesarza i króla francuskiego a drwię z Papięza,—muszę się liczyć z fantazją tej błaznicy.

LAPI.

Filigranowa dusza.

KSIĄŻĘ.

O to, to! Jak on to powiedział! Prawda, ty się w niej też kochasz, stary!

LAPI.

Od dnia jej narodzin: choroba nie groźna, bo chroniczna.

KSIĄŻĘ.

Kochaj się więc, kochaj, jeno mi jej nie wykradnij. Trzeba jednak przyznać, że ten skoczek z Orvienny ogromną mi zrobił satysfakcję. Wczoraj jeszcze myślałem, że opuszczony przez cały świat i skazany na zagubę, a dziś—ożyłem i różniej mi ja-koś. Tak, po wszystkim trzeba będzie tego Francuza sprzątnąć...

Scena 2.

— Carraro, Dwmunt w swoim mieszkaniu.

DOWMUNT.

Czy i tej nocy konie mamy trzymać w pogotowiu?

CARRARO.

Nie.

DOWMUNT.

Rozmyśliła się?

CARRARO.

Miałyby ojca w niebezpieczeństwie opuścić? Ta wojna przekłeta! (Zrywa się) Ale jej nie będzie, nie będzie. Za kilka dni pofruniem, jak ptaki.

DOWMUNT.

Zkąd wiesz, że nie będzie?

CARRARO.

A któż ma wiedzieć? Jak mi to odrazu do głowy nie przyszło? Nagle wczoraj wieczorem... Nie o mnież tu chodzi? Skoro więc ja się wycofam i zrzekę pretensyi wszelkich...

DOWMUNT.

Uczyniszże to?

CARRARO.

Posyłam list do Mantui, zkąd go kupiec pewien odesła do Sarmy. Napisałem, niby z Wenecyi, że jadę do Francyi, bom się rozmyślił i nie chcę być przyczyną rozlewu krwi bratniej, że dziękuję za pomoc ofiarowaną, ale już sam warunek oddania Leggio każe mi się jej po namyśle wyrzec; że wreszcie całą naszą umowę uważam za zerwaną i proszę o załagodzenie zatargu z Moleną.

DOWMUNT.

I tyś to uczynił?

DI MASSA (wchodząc i składając ukłon głęboki Carrarowi).

Przynoszę waszej wysokości cały pęk nowiu. Postanowiono ruszyć o świcie przyszłego poniedziałku prosto na Sarmę, nie czekając nieprzyjaciela, i opierając się lewem skrzydłem o góry. Książę Orvieuny, bojąc się oczywiście zaźmienia swej osoby, wyrobił dla waszej wysokości stanowisko burgrabiego w Leggio... Cha, cha, cha!.. bo to niby spodziewają się podejścia i napadu od strony gór, trzeba więc tam kogoś pewnego. Cha, cha, cha!...

CARRARO.

Czemu zwiecie mnie wysokością?

DI MASSA.

Przyzwyczajam się dziś, żeby się jutro nie pomylić. Na tym tu papierze macie cały plan kampanii: terminy wymarszów, punkty zborne, liczbą, zapasy. Jednem słowem wszystko, jak trzeba. Piszcie więc do księcia kuzyna, niech zawczasu obsadzi...

CARRARO.

Niel...

DI MASSA.

Jakto? Musicie przecie jakiś znak posłać, że to od was. Jeno posyłajcie nie prosto, boby posłańca wnet przejęto. Niech naprzód kieruje się w stronę Paduy, potem nawróci ku Mantui, a minąwszy dopiero rozjazdy Moleńskie...

CARRARO (dobitnie).

Nie posłę tego wcale.

DI MASSA (bystro).

Jedziemy sami?

CARRARO.

Nie...

DI MASSA.

Będziemyż zwlekać do ostatniej chwili? Ja i moi czekamy tylko znaku. A to przecie pilne. (wskazując papier).

CARRARO (z rozdrażnieniem).

Nie czekajcie, bo się nie doczekacie.

DI MASSA.

Jakto? Przecie musimy wszyscy razem... Ale bez żartów, wiadomości to pilne i najwyższej wagi.

CARRARO.

Przeceniłem swoje siły: nie dla mnie rzemiosło szpiegowskie.

DI MASSA (ze zdumieniem).

Rzemiosło szpiegowskie? Mielizbyście nie korzystać ze wszystkiego, czegoście się tu dowiedzieli? (Z uśmiechem). Nie szepnieciesz ani słówka wodzowi Sarmańczyków? (Po chwili). Zagadka to jakaś, i żałuję, że nie jestem Edypem. (Znowu milezenie). Wytlómaczycie mi ją innym razem, dziś bowiem nie jesteście widać usposobieni. Ale-ale, chciałem wam jeszcze powiedzieć...

CARRARO.

Guido!

DI MASSA.

Słucham.

CARRARO (po chwili).

Poco mam was utrzymywać w błędzie? Ostatniemi czasy dużo myślałem o dawnym swem przedsięwzięciu.

DI MASSA.

Dawnem? O jakim?

CARRARO.

I czuję coraz wyraźniej, żeś nędznej podjął się
był roli.

DI MASSA.

In nomine Patris et Filii, et Spiritus Sancti!

CARRARO.

Pali mnie koszula zdrajcy.

DI MASSA.

Wszak to wrogę twoje!

DOWMUNT.

Z wrogiem bić się otwarcie...

DI MASSA (zwracając się doń).

Waszeż to wpływy? Należy powinszować przy-
szłemu księciu Moleny tak dobrze znającego się na
polityce doradcy. Zaszczepiajmy więc w krainie sztuki
i wiedzy zwyczaję puszcz polskich.

DOWMUNT.

Jeżeli książęta wasi muszą koniecznie łączyć
i zdradzać,—na nic im zwyczaję nasze.

CARRARO (do hr. di Massa).

Dajcie mu spokój. Nic on nie winien temu, że
żałuję, iżem się dał wciągnąć do tej sprawy. Uda-
wać, oszukiwać, wypatrywać, wybadywać, żeby po-
tem donosić...

DI MASSA.

A toć to najprostszy wybieg wojenny.

CARRARO.

Gdybym był przynajmniej jakimś obrońcą spra-
wiedliwości, ale dla zysku własnego...

DI MASSA.

Nie jesteście sprawiedliwością uwolnić Molenę od
tyrana?

CARRARO.

Mówicie, jak do dziecka. Książę nie jest świę-
ty, ale tyranem nie był nigdy.

DI MASSA.

Zapewne, nie morduje on ludzi po ulicach dla
przyjemności, nie spalił jeszcze ani razu miasta dla
kaprysu, a dałoby się może znaleźć z pół tuzina dzie-
wic w Molenie...

CARRARO.

Iluż to gorszych od niego, nie wyłączając mego
kuzyna sarmeńskiego.

DI MASSA.

Drwicie sobie ze mnie, oczywiście, tylko zbyt już coś poważnie.

CARRARO.

Zrobiłem głupstwo i chcę się z niego wypłatać, was zaś błagam, zaklinam na dawną naszą przyjaźń: przebaczcie mi i odróbcie wszystko, coście zrobili.

DI MASSA.

Chyba śnię. Uszczypnijcie mnie, na miłość Boską, albo ukłujcie, choćby sztyletem.

CARRARO.

Pomordować tysiące, tysiącom zburzyć gniazda rodzinne, tysiące pogrążyć w nędzę i rozpacz, byleby jeden dostał się do władzy! Odciąć i rzucić wilkowi kawał ciała macierzyńskiego, by kupić sobie tem prawo pastwienia się nad resztą jego bezkarnie!...

DOWMUNT (zrywając się).

Wiedziałem, że masz duszę, ale że tak... że tak...

DI MASSA.

Więc toście wymyślili? Innemi słowy znaczy to zerwanie z Sarmą.

CARRARO.

I zerwę, i zerwę. (Wskazuje przez okno). Patrz, goniec wyrusza.

DI MASSA.

A wasze pieniądze, ta suma olbrzymia—resztki fortuny?

CARRARO.

Bez księcia Sarmy nie mógłbym być nigdy podnieść tych pieniędzy, słusznie więc mu się one należą: za odszkodowanie starczy. Zresztą wolę stracić fortunę, niż duszę.

DI MASSA.

Czy to nie wycieczki do Leggio? Ojciec Vicenzio!... Aha! Że też was nie uprzedziłem, że tym mnichom więcej chodzi o pozostanie przy Molenie, niż o zbawienie. Jest to ich intryga!

CARRARO.

Zapewne, ojciec Vicenzio nie potępiłby mnie. Kara mi się należy, i jeżeli się tylko uda uniknąć krwi rozlewu, będę błogosławił swoją stratę.

DI MASSA (chodząc szybko).

Jak śnieg! jak śnieg wśród lata! Wydać całą fortunę na przedsięwzięcie, związać się umową i, stanawszy niemal u celu, cofnąć się, odtrącić rękę pomocy...

CARRARO.

Bezinteresownej.

DI MASSA.

I ulitować się nad wrogiem najstraszliwszym a zdradzieckim!... Nic nie rozumiem! Jak śnieg! (Nagle, zatrzymując się przed Carrarem). A jeżeli kuzynu wasz nie uwzględni tych racyi mnisio-litewskich?

DOWMUNT (wstając).

Wśród puszczy swoich umiemy szanować mnichów, ale racye potrafimy też mieć stalowe. (Uderza w rękę).

CARRARO (też wstaje).

Dajcie pokój, panowie! Tego tylko braknie żebyśmy się między sobą pobili. (Do hr. Di Massa). Czy książę Sarmy uwzględni moje powody, czy nie,—to jego rzecz, wiem tylko, że mu się grunt z pod nóg usunie. (Siada).

DI MASSA.

Grunt—to wojsko i pieniądze. Jeżeli więc ów książę, potrzebując koniecznie Leggio, poniósłszy już tyle trudów, mając wszystko gotowe, wojny nawet pomimo waszego cofnięcia się poniechać nie zechce?

CARRARO (zrywając się).

Co? Jako? A głupiec ze mnie, głupiec! My-

ślałem: zażegnam. (Chodzi i przystaje). Prawda! prawda! On napewno!... (Załamując ręce). Ach. Madona! Madona! (Nagle i gwałtownie). Krew ta niech spadnie wtedy na jego głowę!

DI MASSA (po długiej chwili, niby obojętnie).

Niech pada! Nie będę się za nim modlił, ale co wy w takim razie uczynicie?

CARRARO.

Ja?

DOWMUNT.

Dziś się jeszcze zaciągnę na wszelki wypadek do wojsk tutejszych. (Odchodzi na stronę).

DI MASSA (przeprowadziwszy go wzrokiem wściekłości, do Carrara).

Może wy też przeciw samemu sobie służbę tu przyjmiecie. Przepraszam za ten żart głupi, ale mimowoli...

CARRARO.

Nie macie za co przepraszać.

DI MASSA (po chwili, z twarzą pogodną, głosem zwykłym).

Ale, ale! Gotówem był zapomnieć. Nareszcie

mamy sposobność doskonałą zwiedzenia waszego zamczyńska. Pojedziem niby za miasto i dopiero od pół przez pewien wyłom w murze dostaniem się do parku. Dziś nikt nas tam nie dojrzy, zaraz wam powiem dla czego. Każcie tymczasem siodłać konie.

CARRARO (z przestachem).

Dziś? zaraz?

DI MASSA.

Trzeba korzystać ze sposobności. (do Dowmunta) Może i wy, hrabio, zechcecie nam towarzyszyć w tej wycieczce?

DOWMUNT.

Nie jestem hrabia, jeno równy królom szlachcic.

Scena 4.

Carraro, Dowmunt i Di Massa, potem Soto i Bachio. Przed ruinami pałacu Carrarów. Dowmunt cały czas mileży ponuro).

DI MASSA (do siedzącego z twarzą w dłoniach Carrara).

Siedzicie na odłamku posągu.

CARRARO (podnosząc się i patrząc, głucho i jakby obojętnie).

Tak? Tors Herkulesa: zdobył wejście do sali przyjęć. Wspaniała robota. Potłukli do niepoznania.

DI MASSA.

Hunny przeszły.

CARRARO.

Wszystko rozbite. (Po chwili). Przygotowując się do dysputy w Sorbonnie lub w namiocie między dwiema potyczkami, nieraz zamykałem oczy i oglądałem ten zamek w całej jego dawnej i dumnej piękności.

DI MASSA.

By zwyciężyć potem w dyspucie czy bitwie.

CARRARO.

Kilkanaście lat temu malcem jedenastoletnim wracałem raz do zamku tego jeszcze ze szkoły paduańskiej. Zaledwo głowa mego konia ukazała się we wrotach, zagrzmiały trąby i bębny, wystrzały i wiwaty. Na ganku, dziś w gruzach leżącym, oparły ręką o jednego z tych lwów potrzaskanych, stał mój ojciec. I wszystko, wszystko!...

DI MASSA.

Bolesne wspomnienia. *Nessun maggior dolore!*...
Z tej strony dach zerwany...

CARRARO.

Niby głowa kochana maczugą złoczyńcy strza-
skana.

DI MASSA.

Tam okna deskami pozabijane...

CARRARO.

Jak oczy, ręką katowską brutalnie zamknięte.

DI MASSA.

Inne znów...

CARRARO.

Mój Boże! Tam komnata matki mojej — bez
szyb, bez ram — patrzy oczodołami trupa.

DI MASSA.

I nikt nie wskrzesi.

CARRARO.

Pocem tu przyszedł? Jak dusi powietrze, któ-
rem oddychało dzieciństwo moje szczęśliwe.

DI MASSA.

Nie przypuszczałem, że cię to tak wzruszy.

CARRARO.

Niechby lepiej bluszcz ten obwijał mój grobo-
wiec zaniedbany!

DI MASSA.

Ojciec twój myślał, że będziesz tu panował w po-
tędze, sławie i szczęściu.

CARRARO.

Bo nie wiedział, że sądzono mi zginąć nędznym
i samotnym.

DI MASSA.

Lub księciem Moleny—wedle wyboru.

CARRARO.

Chodźmy do wnętrza. Jak po zarazie!...

DI MASSA.

Jak się roilo niegdyś w tym pałacu... Służba
i goście...

CARRARO (oglądając się).

I ten park! Najpiękniejszy park Italii, chluba
mojej matki i Sota... Gdzież klomby i aleje?

Lepiejby mogła moja, zapomniana w obcej ziemi, tem zielskiem porośla! Chodźmy.

DI MASSA.

Jak chcesz, może cię to jednak jeszcze bardziej przygnębi. (Do Dowmunta). Gdybyście tak zastali po powrocie siedzibę swoją? (Dowmunt milcząc idzie za Carrarem; z domu wychodzi Soto).

CARRARO (drgnawszy, zatrzymuje się i wpatruje weń przez chwilę)

(Głosem drżącym ze wzruszenia). Co tu robisz?

SOTO.

Jestem ubogi ślepy starzec.

CARRARO (zmieniając jeszcze bardziej, już umyślnie, głos).

Powiedz nam, mój kochany, kto jest gospodarzem tej rudery?

SOTO.

Chyba ten, kto w niej gospodarzy.

CARRARO.

Któż taki? Zdawałoby się, że to pustka. Okna pozabijane...

SOTO.

Bo nowi gospodarze drwią ze światła. Jeden

kąt w jakiejś piwnicy zajmuję ja, w górnych zaś pokojach rozgościły się puszczyki i nietoperze.

DI MASSA.

Godna kompania.

SOTO.

Upraszam o przebaczenie łaskawych panów. Zapomniałem o nadwornych muzykantach i tkaczach, tymczasem świerszcze i pająki niepoślednią grają rolę.

DI MASSA.

Dawno tu mieszkasz?

SOTO.

Niktby nigdy nie potrafił mieszkać dawniej, niż od urodzenia.

DI MASSA.

Od urodzenia? Znałeś więc dawnych panów?

SOTO.

Jestem stary ślepy żebrak. Dajcie, państwo godni, grosik na chleb ubogiemu!

DI MASSA.

Jesteśmy nie tutejsi, a ciekawi. Przypadkiem tu weszliśmy. Mów, a jałmużny ci nie poskąpim.

SOTO.

Niech wam Pan Jezus, panowie szlachetni, i Matka jego przenajświętsza, błogosławi. Trudno mi dużo mówić: dech krótki, a bieda pamięć wygryzła. Niech was Madona!... (Chce odejść).

DI MASSA.

Zaczekajże, nie śpiesz: opłaci się! Dawno jesteś ślepy?

SOTO.

Od chwili, w której straciłem oczy. Bądźcie zdrowi, szlachetni panowie! (Znów chce iść).

CARRARO.

Stój, no i posłuchaj. Pewien przyjaciel mój, zład rodem, wiedząc, że mam być przejazdem w Molemie... Zwie się margrabia Carlo Carraro.

SOTO (wstrząśnięty, niby iskrą elektryczną, obraca się szepcząc coś niezrozumiale)

CARRARO.

... powiedział do mnie przed kilku dniami: odszukaj starego sługę mego i przyjaciela, Sota, którego dzieckiem najbardziej po rodzicach kochałem, i pozdrów odemnie.

SOTO.

Soto? Kto woła: Soto? Kto mnie zna? Kto mówi: Carlo Carraro? Pozdrowienie? Mnie pozdrowienie? Wie, że żyję? pamięta? pozdrowienie? Czy mię już rozum mać? Tak się bałem obłąkania... Co mi się marzy! (Idzie, trzęsąc się, macając przed sobą kijem, aż wreszcie ręką wyciągniętą dotyka Carrara). Kto tu?

CARRARO.

Tyżes to, kogo przyjaciel mój zwał drugim swym ojcem? Kazał doręczyć ci to...

SOTO (chcąc oddać położoną do ręki sakiewkę).

Złoto? Na co mi? Nie chcę złota. Niech najmnie kilku żołnierzy więcej. Wspaniałomyślny pan mój, wielki rycerz!... Wiem... Kilku żołnierzy więcej... Na co mi złoto? (Chce oddać).

CARRARO.

Weź, weź! On kazał. Zobaczę go niebawem. Co mu powiedzić? Jak oslepieś?

SOTO.

Wyłupiły oczy potwory. (Wygrazając ręką). Pytali, gdzie Carlo? Ach, wtedy... Straszno wspominać! (Znów chce oddać sakiewkę). Na co mi to? Kilku żołnierzy... Powiedz mu wszystko, panie! (Wskazuje ręką dokoła). Powiedz, żeś widział te jamy.

(Wskazuje swoje oczy), któremi go już nie zobaczę. Ale rękami temi dotknę jeszcze jego czapki księżęcej. Słyszę, wszyscy szepczą, a ślepeca żebraka nikt się nie strzeże. On mnie pomści... Siebie pomści. Zburzyli... Zhańbili...

CARRARO.

Chodź ze mną. Nie możesz tu zostać.

SOTO.

Miałbym jeszcze na przyjaciół mego Carla pomstę Antychrysta ściągnąć? I poco? Tu zacząłem, tu skończę. Jużbym od ruin tych serca oderwać nie potrafił: przyrosło. Przywykłem. Mnie nie straszą głosy nocne i kroki. To tak, jakbyście chcieli tych puszczyków... A dobrego słowa pana mego i syna starczy mi na resztę życia. (Chcąc znów oddać sakiewkę). Na co mi to? Na co?...

CARRARO

Czemże ci dopomódz mogę?

SOTO.

Niczem, panie dobry. Przy panu moim nie dla mnie staniesz. A będę jeszcze szczęśliwy, jakim nie byłem nigdy z pełnemi światła oczyma, kiedy usłyszę: „niech żyje książę Carlo.“ A jak oni będą krzy czeli. Tu nikt głośno nie mówi, a każdy pamięta.

(Znów chce oddać sakiewkę). I na co mi to? Weźcie, panie, oddajcie. Przecie tu dziesięciu żołnierzy...

CARRARO.

Weź, weź! On kazał.

SOTO.

Na co mi to?... Bądźcie zdrowi, szlachetni panowie. Powiedźcie, że stary Soto całuje rękę jego. (Śpiesznie odchodzi, szepcząc). Carlo! Carlo! (Carraro patrzy za nim bezmyślnie).

DI MASSA (po chwili woła, przykładając ręce do ust i zwracając się w stronę parku). Hola! Hej! Bachio! Hola, Bachio!

BACHIO (wbiega).

Jestem na rozkazy waszej cześci.

DI MASSA.

Znasz gońca, który pojechał do Mantui?

BACHIO.

Przecie to sam François, wasza cześć.

DI MASSA.

A wiesz, jaką drogą?

BACHIO.

Sam mu ją opowiadałem i ze sto razy, bo taki głupi...

DI MASSA.

A chciałbyś zarobić dziesięć dukatów?

BACHIO.

O, wasza miłość!

DI MASSA.

Bierz mego konia, dopędź François i każ imieniem swego pana wracać natychmiast. Rozumiesz?

BACHIO.

Rozumiem, wasza miłość.

DI MASSA.

Więc na koń, a nie żałuj go. Choć padnie potem—nic to!

CARRARO (do Bachia, który już odbiegł kilka kroków).

Stój, Bachio! (Do hr. Di Massy). Co to znaczy?

DI MASSA (stłumionym głosem).

Nie jestże obowiązkiem wiernego sługi odgadywać wolę pana? Wiem, że pragnęlibyście inny list posłać. (Po chwili). Wobec tej ruiny—w gruzy padły chyba wasze skrupuły. Te oczy wydarł...

CARRARO (z wybuchem).

Wróć mu je, wydarłszy sobie serce?

DI MASSA (stoi przez chwilę jak skamieniały, potem zbliża się gwałtownie i, zaglądając mu w oczy, głucho).

Kochasz księżniczkę? (Carraro milczy).

DI MASSA (rozgląda się obłędnie)

Bianca!! Bianca! (Zatacza się, Carraro go podtrzymuje).

(Zastona)

Scena 4.

BIANCA i LUCIA. Sypialnia Bianki.

LUCIA.

Chyba o księcia Orvienny tak się niepokoisz, bo jego wysokości strzedz będzie całe wojsko, hrabiego zaś du Lieu—mury.

BIANCA.

Mury chronić będą wszystkich, ale nie jego. Zresztą czy długo?

LUCIA.

Chciałażbyś, żeby się krył za kamienie?

BIANCA.

Alboż ja wiem? Wiem tylko, że na nic chcę nie moje.

LUCIA.

Cóż bohaterowi takiemu stać się może?

BIANCA.

Powtarzam to sobie, a wnet strach mnie chwytą: nie wyzywamże losu? I myśl moja—niby motyl, uwikłany w wir powietrzny.

LUCIA.

Przecie Bogu ufać powinnaś.

BIANCA.

Ufam, a drzę.

LUCIA.

Już teraz, cóż więc będzie potem?

BIANCA.

Prawda. Dziś mogę jeszcze powiedzieć sercu: za kilka godzin go zobaczę, a pomimo to smutne, jak grób ukochany.

LUCIA.

Otrząśnij się, Bianco, i raźniej spójrz na świat. Zastanów się: za cóż Bóg miałby cię zasmucić?

BIANCA.

Ach, Lucio, ty nie wiesz, jakam ja zła.

LUCIA (ze śmiechem).

Ty? Ty?

BIANCA.

Nawet miłość złą jest we mnie. Jeszcze dziś nie mogę odgoryczyć serca po tem uczuciu nienawiści do margrabiny, że mi przeszkodziła wymknąć się wczoraj, nienawiści za jego niepokój, moją tęsknotę.

LUCIA.

Jabym ją była zabiła na twojem miejscu.

BIANCA.

Mówisz tak tylko, ale gdybyś wiedziała! gdybyś wiedziała!...

LUCIA.

Śmiałabym się jeszcze serdeczniej.

BIANCA.

Kiedym usłyszała, że ojciec z księciem Orvienny pójdą przodem na Sarmę, jego zostawiając w Leggio... Nie, to okropne! Nie mogę, nie mogę!...

LUCIA.

Powiedz, powiedz, Bianco!

BIANCA.

Dobrze, gardź mną, gardź, jestem warta. Po-

myślałam... ze strachem zazdrosnym pomyślałam: a może oni zwyciężą sami, jemu nie zostawiwszy ani na wieniec jeden sławy? Widzisz! widzisz!

LUCIA.

Biedna, biedna Bianco! biedna ptaszyno w wirze powietrznym.

BIANCA.

Ale jemu nie powiedziałabym tego za nic! za nic! A może trzeba? Poco ma myśleć, żem dobra?

LUCIA.

Powiedz mu to, a gdyby nie ucałował stóp twoich, byłby dyszkantem kardynalskim, nie mężczyzną.

BIANCA.

Nie mów tak! nie mów!

LUCIA.

Patrząc na ciebie, nawet ja żałować zaczynam, że się wieści czy przeczucia hrabiego du Lieu nie sprawdziły.

BIANCA.

Czemuż nie mogę przynajmniej, przebrana za pażia jak w romansach, iść za rycerzem swoim? Czyż się nie zdarzało, że paż sobą pana od ciosu zasłonił?

LUCIA.

Któryż rycerz z sereca—zbroi tarczęby czynił!

BIANCA.

W samotności i spokoju sercem patrzeć bezradnie na tysiące niebezpieczeństw. Myśleć, że lada klinga bezrozumna, lada pocisk błędny!... I mogłam sobie wyobrazić — szalona! — że zniosę spokojnie jego odjazd!... (Po chwili). Lucio!

LUCIA.

Co, Bianco?

BIANCA.

Zdaje mi się, że mnie śledzą.

LUCIA.

Mnie się też zdaje.

BIANCA.

Lucio!

LUCIA.

Co, Bianco? (Bianca milczy). No co? Chcesz mnie o coś prosić, widzę. Prawda?

BIANCA.

Tak, tylko nie wiem, jak... jak powiedzieć...

LUCIA.

Od początku do końca, księżniczko moja!

BIANCA (błagalnie).

Chcesz mi uratować więcej, niż życie? Pomyśl, coby to było, gdybym go pożegnać nawet nie mogła!

LUCIA.

Cóż mam uczynić?

BIANCA.

Margrabina znów co chwila będzie do sypialni mojej zaglądała.

LUCIA.

Cóż na to poradzę?

BIANCA (po chwili walki wewnętrznej).

Przyjdź do mnie i... i połóż się do mego łóżka. (Prędko). Zakryjesz twarz... jak ja czasem... Dobrze? Dobrze?

LUCIA.

Bianko! I to ty? ty? ty, taka chytra?

Scena 5.

Przy altanie laweczka.

CARRARO i BIANCA siedzą przytuleni do siebie.

CARRARO.

Kochasz mnie, Bianco?

BIANCA.

Kocham, Giovauni.

CARRARO.

Bianko, do hasła—zapomnij, że to ostatnie chwile, i naprzekór losowi bądźmy, jak dawniej.

BIANCA.

Dobrze, Giovannil

CARRARO (pochylił się, zagląda jej w oczy i prze-drzeźniając).

Dobrze, Giovanni.

BIANCA (machinalnie wzrusza głową, jakby z niej co strząsała).

Będziesz mnie tak kochał, jak dawniej?

CARRARO.

Nie, nie! (Bianca, drgnąwszy, zwraca się ku niemu). Będę kochał więcej.

BIANCA (uwalniając się z objęcia).

Czyż chcąc, byś mnie kochał jaknajwięcej, muszę pragnąć, byś się oddalił jaknajbardziej?

CARRARO.

Czy bliski, czy daleki—codzień więcej kochać cię muszę. Miłość wzbiera w duszy mojej, jak wody wiosenne: przed chwilą widać jeszcze było jakieś wysypki, runią obcych myśli porosłe, i już ich niema. Uczucie, z którym szedłem tu przed kilku dniami, zdaje mi się dziś kagańcem wobec pożaru miasta. Codzień zasypiam, czując, że więcej już kochać nie można, by się obudzić z uczuciem, że wczoraj jeszcze nie umiałem kochać wcale.

BIANCA.

Tak! tak!

CARRARO.

Bianko, czyż wątpisz o mojem sercu?

BIANCA.

Nie, Giovanni.

CARRARO.

Czemżeś tak dziwnie powiedziała: „tak, tak!”

BIANCA.

O sobie myślałam. Ja też Kocham coraz bardziej.

CARRARO (znów ją przytula do siebie).

Bianko, ach! Bianco moja! Czegóż się martwisz? Przecie za dni kilkanaście wrócę, żeby się już nigdy z tobą nie rozstać.

BIANCA.

Wróć, Giovanni!

CARRARO.

Pada mi na serce smutek twój, jak rosa na liść. Nie z takich niebezpieczeństw wychodziłem cało! Idę, jak na zabawę, dlatego tylko nudną, że ciebie tam nie będzie. Gdybym mógł ztamtąd przylecieć nocną porą do stóp twoich, jak teraz, byłbym stokroć spokojniejszy tam, niż tu.

BIANCA.

Będziesz myślał o mnie czasem wśród zgiełku?

CARRARO.

Pytaj, czy zawsze usłyszę zgiełk wśród myśli o tobie! (Strzał. Carraro się zrywa).

BIANCA (zrywa się też, chwytając go rękami, jakby chciała zatrzymać).

Już! już! już!

CARRARO.

Bianko! Bianco! Bądź o mnie spokojna! Ulituj się!...

BIANCA (szybko).

Będziesz mnie kochał, Giovanni? Kochaj mnie!
Jam niewarta, ale Kocham i jestem twoja.

CARRARO.

Wszystkie myśli moje, jak stada ptactwa od zi-
my, lecieć będą ku tobie, wiosnie mojej!

BIANCA (wskazując serce).

Zamknę je tu—do klatki.

CARRARO.

Bądź zdrowa, gołąbko moja!

BIANCA.

Giovanni! Pamiętaj: w twojej piersi i moje ży-
cie. Narażaj się tyle, ilebyś mnie chciał narazić.

CARRARO.

Mam więc zostać w Molenie?

BIANCA.

Nie szukaj niebezpieczeństwa.

CARRARO.

Nie myśl o tem, Bianco! Wierz: tam będę bez-
pieczniejszy, niż tu byłem. Bądź mi zdrowa i spokoj-
na a tylko módl się za mnie.

BIANCA.

Jeszcze miałam ci powiedzieć..! Wszystko wy-
padło z pamięci. Przekłeta wojna! Dotychczas gwał-
tem w objęciach mnie zatrzymywałeś, a teraz z moich
gwałtem się wyrwasz.

CARRARO

Bianko, Bianco! Idę walczyć za córkę i za
wnuczátko swoje. (Długi uścisk).

BIANCA (puszczając go).

Idź! idź! (Znów go obejmuje). Idź, mój piękny!
Idź, mój dobry! idź, mój miły, idź, mój jedyny! idź,
ukochany mój! Nie, nie! Chciałabym ci powiedzieć
coś piękniejszego, niż piękny, lepszego, niż dobry,
milszego, niż miły, droższego, niż jedyny, czulszego,
niż ukochany. Ach wiem: Giovanni! (Całuje go
i wybiega).

CARRARO (robi parę kroków za nią. Zatrzymuje się
przez chwilę i wybiega w stronę przeciwną).

BIANCA (wraca).

Niemal... Giovanni! (Biegnie za nim).

Giovanni! (Słychać za sceną). Giovanni! (Po
chwili wraca).

Niema! niema!

(Pada na ziemię przy ławeczce i, oparłszy głowę na rękę,
wybucha łkaniem).

AKT V.

Scena I.

Na zamku. KSIĄŻE, LAPI, margrabina MALFI (wchodzi).

KSIĄŻE (chodzi po pokoju i, nie patrząc, odpowiada na jej ukłon).

No, cóż tam Bianca, margrabino? Nietęgo mi jej coś pilnujecie.

MALFI (ogromnie wzruszona, sapiąc, przerywanym głosem).

Obowiązek wierności... Aczkolwiek straszno sercu ojcowskiemu zadać taki cios...

KSIĄŻE (zatrzymując się przed nią).

Co? co?

— 257 —

MALFI.

Oddawna mówię, że wpływ Lucii... Ach, czemuż kto inny... (Spogląda ku Lapiemu).

KSIĄŻE.

Czy się stało? Gadajcież, do stu dyabłów.

MALFI (składa ręce).

Powiem, powiem wszystko, choćby mi serce miało... (Książę się niecierpliwi). Jej wysokość była wciąż nadzwyczaj... O, mój Boże... i często płakała i modliła się. Przesłuchiwała... O, Madona, Madona!... każdego gońca, aż wreszcie raz... O najśłodsze imię Jezus!...

KSIĄŻE (tupiąc nogą).

A, milion dyabłów!...

MALFI.

Zaraz, zaraz, wasza wysokość, właśnie do tego...

KSIĄŻE (niecierpliwi się).

MALFI.

Otóż kiedy goniec ów powiedział, że... że hrabia du Lieu... O, wielki Boże ojców moich, dodaj mi!...

KSIĄŻE (przyskakując z wściekłością).

Czy do szaleństwa chcecie mnie doprowadzić?

Biała gołabka. Tygod. dodatek bezpłatny do „Gazety Polskiej.” 7

MALFI.

Ach! ach! (Mdleje).

KSIAŻĘ.

Masz dyable kaftan! (Klaszcze na służbę). Co się tam z Bianką stało? (Chce wyjść).

LAPI.

Nic, coby już waszej wysokości w części najważniejszej nie było wiadome.

KSIAŻĘ (zatrzymuje się i zwraca ku niemu).

Że ona się kocha w tym bohaterze z Francyczy z piekła? (Do służby). Wynieście do licha tę babę! (Do Lapiego po wyjściu służby). Plotleś mi ni to, ni owo jeszcze przed pochodem i nudziłeś potem stale głupimi domysłami, półsłówkami i wiadomościami. Gdyby ta miłość rosła w rzeczywistości tak, jak w twoich gawędach... Ale mów, jeżeli wiesz, co się tu takiego okropnego stało?

LAPI.

Jej wysokość, którą niepokój niesłychany trawił nieustannie, usłyszawszy, że hrabia du Lieu otrzymał postrzał w piersi, zerwała się bez tchu i bez pamięci, i, odpychając wszystkich, wybiegła z pokoju i pałacu, aż przy bramie padła. Przyniesiono omdlałą, oculo-

no i uratowano... listem samego hrabiego du Lieu, przesłanym potajemnie przez tegoż gońca na ręce Lucii Comarli.

KSIAŻĘ.

Do Bianki?

LAPI.

List był, zdaje się, do jej wysokości.

KSIAŻĘ.

A, do kata! Jemu się zdaje! I to Bianca, Bianca!... Czy aby tylko nie bajkami mnie karmicie?

LAPI.

Śmiałżeby?

KSIAŻĘ.

Więc dla mnie i dla Moleny mogła się modlić, a dla tego przybłądy umrzeć nawet. I hodujże tu córki!... Ach, syn, syn!... To już przechodzi wszelką miarę. (Znowu chodzi). To wymaga...

LAPI.

Dodać należy, że od owego czasu zdrowie jej wysokości bardzo jest niepewne: znowu coś z sercem. Sosio, jakem już wspominał waszej wysokości, zalecił spokój, szczególnie zaś unikanie przykrych wzruszeń.

KSIAŹĘ.

Ty lisie, lisie stary! Jak śmiesz prowadzić mnie, niby dziecko na pasku.

LAPI.

Czyż ma wasza wysokość sługę wierniejszego?

KSIAŹĘ.

Sługę—od wodzenia za nos pana. I ręczę, żeś wiedział o tem wszystkim oddawna?

LAPI.

Miałemże bez pożytku zakłócać, lub pozwolić zakłócać spokój ducha i odrywać gwałtownie uwagę waszej wysokości od spraw najwyższej wagi? Nie ukryłem jednak treści rzeczy. Wspomniałem nawet kiedyś ogólnikowo o tem wzruszeniu.

KSIAŹĘ.

On poprostu gra na mnie!... Prawda, przygotowałeś mnie—i nietylko do wieści, ale też do postanowień. Śmiałybym się sprzeciwić twojej woli?

LAPI.

Wolą moją jest wola waszej wysokości, mojem zaś własnem jest tylko pragnienie szczęścia i sławy książąt Moleny.

KSIAŹĘ (chodząc i przystając).

Jakiś cudzoziemiec, o którym nikt nic nie słyszał?... Może awanturnik pospolity. Zapewne, wygląda na wielkiego pana... Jak myślisz?

LAPI.

Lud ma go za swego.

KSIAŹĘ.

I wita—bodajby go dyabli wzięli—goręcej niż mnie, a witałyby jeszcze goręcej tego zdrajcę... (Znowu chodzi). Przechwała się jakąś kroplą krwi włoskiej...

LAPI (półgłosem).

Byleby jej nie za dużo w nim było.

KSIAŹĘ (zatrzymując się).

Co tam mruyczysz? Będziesz mnie zagadkami bawił? Nie wiem, kiedy miałeś czas widywać matkę jego z Włochami, pewną jednak jest rzeczą, że się ten Francuz boi ciebie, jak ognia, i unika—jak mnie samego poza polem bitwy.

LAPI.

Kraj cały...

KSIAŹĘ.

Nie zwracaj mi głowy głupstwami: przecie nie

odezwę do ludu dyktujesz. Jeżeli ta błaznica naprawdę... I tak źle, i tak nie dobrze. To mi dopiero ewiek!... W każdym razie tę Lucię...

LAPI.

Jej wysokość bardzo ją lubi.

KSIAŻĘ.

A tak! a tak! Wiesz co, stary? Gdybym się tylko mógł obyć bez ciebie, powiesiłbym cię własnoręcznie.

LAPI.

Za co?

KSIAŻĘ.

Za tę twoją chytrą. Prawda, Bianka jej tknąć nie da. I pomyśleć, że jestem niby księciem potężnym... Więc gadajże nareszcie, do licha!

LAPI.

Co mam mówić?

KSIAŻĘ.

Co robić?

LAPI.

Wasza wysokość najlepiej rzecz tę zdecydować może.

KSIAŻĘ.

Naturalnie, jakęś już sam zdecydował i nakręcił mnie według swego widzimisie. I ten osioł Sosio powiada—bodajby go dyabli wzięli... Niema co, piękne powitanie zwycięzcy w stolicy jego.

LAPI.

Oczywiście, groźnego nic a nic niema.

KSIAŻĘ.

Ja myślę. W każdym razie co do tego Francuza... (Urywa).

LAPI.

Zdaje mi się, że zawdzięczamy mu trochę...

KSIAŻĘ (ironicznie).

Zdaje się!... Trochę...

LAPI.

I niemniej zawdzięczać możemy w przyszłości. Dla takiego tarana niema murów.

KSIAŻĘ.

To też on żyje, choć wojna skończona. To też nadam mu wszystkie dobra tego zdrajcy. Ale co robić z dziewczyną szaloną? I jeszcze ten idyota

Sosio!.. Boję się iść do niej zaraz, żeby jej nie wzruszyć zbyt gwałtownie. (Zaczyna chodzić i zatrzymując się nagle) Idźże ją przygotować—to przecie twoje powołanie.

LAPI.

Do czego właściwie mam przygotować jej wysokość?

KSIĄŻĘ.

Jakto „do czego“. Będziemy zwlekali ile się da, a tam jakoś się może coś wykręci... Ale do wieści pomyslnych, oczywiście.

LAPI.

Do jakich mianowicie, wasza wysokość?

KSIĄŻĘ (Zatrzymując się i gestykułując).

Otóż i macie go! O! o! Dać mu zaraz czarno na białem. On się nie domyśla, nie rozumie. Do jakich mianowicie?!.. Trzeba mu wytłumaczyć, że się obawiam nagłej radości—jeżeli to wszystko prawda!—bo (z naciskiem) maszynka jest nakręcona na przyrzeczenie awanturnikowi francuskiemu córę i spadkobierczyni księcia Moleny.

Scena 2.

Sala tronowa na zamku.

SZLACHCIC 1 (wskazując Carrara).

Blady, jak trup: mocno mu chyba rana dolega.

SZLACHCIC 2.

Markotny może, bo księżniczki jeszcze po powrocie nie widział: chora podobno.

SZLACHCIC 3.

W każdym razie nie wygląda na człowieka, który otrzyma za chwilę największe dobra w księstwie.

SZLACHCIC 4.

Wraz z księżniczką.

SZLACHCIC 1.

Przy nadziei... na spadek...

SZLACHCIC 2.

Szczęście, żeś dodał, bo myślałem już, że masz dokładniejsze wiadomości o zdrowiu księżniczki.

SZLACHCIC 3.

No, no! Nie bądź aby za dowcipny.

SZLACHCIC 2.

Mylisz, że wypadki nie chodzą... nawet po księżniczkach? (Mówi mu coś do ucha).

SZLACHCIC 3.

Co za głupstwa! Nasza księżniczka? Wiecie, takiego łgarza, jak nasz Antonio...

SZLACHCIC 5.

Głowę dam na odcięcie, że on umyślnie sobie rękę prawą skaleczył, żeby na wojnę nie pójść.

SZLACHCIC 3.

Cóż chcesz? Skoro jego przyjaciel di Massa dla bezpieczeństwa melancholii dostał...

SZLACHCIC 1.

A ten Polak przy Francuzie ma minę wściekłego odyńca.

SZLACHCIC 5 (zbliżając się).

Widzicie tych mnichów?

SZLACHCIC 3.

Więc cóż? Deputacya powirszowalno - dziękczynna od klasztoru w Leggio. Są przecie i mieszczanie, i...

SZLACHCIC 5.

Ale kto na jej czele?

SZLACHCIC 4.

Ojciec Vicencio? Zdaje się chory. Nie wi-
dać...

SZLACHCIC 5.

Ojciec Paolo, były Mattea Roselli!

SZLACHCIC 1.

Co ty pleciesz! Na czele deputacyi? Ojciec!
Nawet nowicyatu nie odbył!...

SZLACHCIC 5.

Myślicie, żem się sam nie zdziwił? Papież podobno wzywał go z obrazem do Rzymu, namawiał do pozostania przy stolicy jego, chciał tę Madonę zatrzymać, aż wreszcie wzruszony czy znudzony prosbami i uporem — odesłał go z powrotem, skracając czas nowicyatu i pozwalając na przyjęcie wszystkich święceń— czy jak tam?— natychmiast.

SZLACHCIC 3.

Co za bajdy! Przecie...

SZLACHCIC 5.

Powiadają, że zna teologię i rytuał, jak kardynał. Jakiś przyszły święty...

SZLACHCIC 2.

Był zawsze... tureckim.

SZLACHCIC 5.

W klasztorze wodę nosi, drwa rąbie, najniższe posługi pełni, jak najniższy nowicyusz, choć...

SZLACHCIC 1.

Cicho! cicho! (Wchodzi książę z głębi z lewej strony i zbliża się do tronu).

DOWMUNT (bystro do Carrara szeptem)

Ludzie i konie w pogotowiu, a znajdują się i na tej sali.

CARRARO (tak samo).

Przecie bronić się ani uciekać nie myślę. Więcej mi dodał otuchy obietnicą, że mnie przebijesz natychmiast, jeżeli tylko...

DOWMUNT.

Może... może nie mów! Może... może uciekać...

CARRARO.

Kłamać jej całe życie? I żyć pod ciągłą groźbą. Tyłu ludzi znało mnie pod innymi nazwiskami.

Lapi patrzy na mnie tak badawczo... Boję się też tego di Massa: może się zbudzić z odrętwienia. Jeżeli zaś dziś nawet, po tym wszystkim i wobec wszystkich... A gdyby zapytała: „pocóż mnie masz pytać, kiedy ci mnie dają?...“

KSIĄŻĘ (z tronu).

Hrabio Janie du Lieu! (Carraro się zbliża. Dowmunt o krok za nim). Niema potrzeby wyliczać tu czynów twoich bohaterskich: znane są one nietylko tym rycerzom szlachebnym, lecz i wszystkim stanom kraju. Co mówię? Cała Italia pełna jest odgłosu twojej sławy. Wszędy pod jej niebem brzmią już pieśni o cudzoziemcu, którego głowie i prawicy zawdzięczam państwo i życie, o mężu wielkiego serca, który z rozbitków i zbiegów uczynił zwycięzców i tryumfatorów. Świat wie, coś zrobił dla mnie i dla Moleny, niechże się więc dowie o mojej wdzięczności. Proś, lepiej powiem: żądaj — czego chcesz, a jakkolwiek śmiałem mogłoby się to żądanie zdawać światu i tobie samemu — zostanie ono natychmiast spełnione, skoro tylko będzie w mojej mocy. Daję na to słowo szlachcica i księcia. (Carraro milczy). Mów więc, czego chcesz, hrabio i przyjacielu? Czego chcesz — jest twojem. (Po chwili). Widzę wzruszenie twoje, hrabio. Czyż cię wśród przyjaciół opuszcza odwaga, którą przerażałeś wrogów? Powtarzam:

czego chcesz — jest twojem. (Z naciskiem). Choćbyś krwi mojej żądał. (Z uśmiechem po chwili). Mamże odgadywać?

CARRARO (przykłęka i chyląc głowę).

Przebaczenia, o panie!

KSIĄŻĘ (wciąż uśmiechnięty).-

Przebaczenia? Cóż ci mam przebaczyć? Czy to, żeś kosztem krwi własnej męztwem nadludzkiem i siłą olbrzyma wyrwał mnie z rąk nieprzyjacielskich, ratując życie i koronę, i droższą nade wszystko cześć? Pamiętaj, hrabio, że władców rodzą niezawsze zrodzeni przez władców. Pamiętaj o mojem słowie, a gorące pragnienie szlachetnego serca twego przestanie ci się zbrodnią zdawać. Nie każże mi narzucać się ze skarbem swym najdroższym: zapewniam cię, że kochając cię tak, jak kocham, nie potrafiłbym ani się dziwić, ani stawiać przeszkód niczyjej miłości dla ciebie. Wstań, hrabio!

CARRARO.

Nie myśl zbyt śmiała, lecz czyn straszny ciężarem swym do stóp twych mnie ściele.

KSIĄŻĘ.

Cóż mi do dalekich czynów twoich? Dość mi tych, na które patrzyłem. Nie mogę sobie wyobra-

zić występku w uosobieniu prawości rycerskiej. Zre-sztą powiedz mi, kogo skrzywdziłeś, żebym go znie-nawidził. Gdybyś był największym zbrodniarzem świata, należałoby ci prosić o przebaczenie tych, co potrafiliby cię ukarać choć gniewnem spojrzeniem, ale mój wzrok, jak i serce, i dłoń, tylko wdzięczność dla ciebie tłómaczyć umie. Wstań, hrabio!

CARRARO.

O panie! Ileż jest czynów, za które kara ściga aż do mogiły, choć serce zbrodniarza tyleż winne było przed Bogiem, co i miecz. Ale niech zemsta ślepa nie będzie przewodnikiem sprawiedliwości twojej, o panie! Niech wspaniałomyślność twa nie idzie śladem nieubłaganego losu, który ongi, za występki mimowolne, skazał owego Greka wielkiej boleści na tułactwo wieczne w dali od ogniska domowego. Przy-najmniej ten na ziemi rodzinnej szukał drzewa świętego, by w cieniu jego na sen dobry złożyć skolataną głowę, a ja—tułacz po obczyźnie chłodnej. Wasza wysokość! Otom rycerz surowy, ale lży tęsknoty do kraju zmyły już dawno krew, co zbroczyła te ręce. Pod mianem zmyślonem, samotny i obcy wszystkim, latami bólu i zgryzoty okupiłem chwilę uniesienia... Zabij, lub przebacz!

KSIĄŻĘ.

Co za chaos! Zbrodnia?.. Krew?.. Zmyślane miano?... Nic, nie rozumiem, bo jeśli przychodzi mi

do szalejącej głowy słowo zagadki, to bezrozumniejsze od bezrozmium samego. Kto jesteście?

CARRARO.

Carlo Carraro.

KSIAŻĘ (zrywa się i rzuca ku niemu, chwytając za szpadę).

Łżesz!

CARRARO (zrywa się też, z ręką na rękojeści).

Łgę? Ja łgę?

KSIAŻĘ (cofa się i chwyta za głowę).

Boże! Co to? Co się ze mną dzieje? (Do Carrara po chwili). Widzicie, mnie to sądono prosić was o przebaczenie: przebaczcie mi, hrabio, ten krzyk szalony. To tylko powietrze obraziło słuch wasz, nie serce moje. Oczywiście to niepodobieństwo: to tak przeczy... przeczy wszystkiemu, jak słońce — nocy, nie należało mi więc obruszać się tak gwałtownie na żart, niepojęty i nie do pojęcia okrutny, ale żart hrabiego Jana du Lieu. Powiedz: była to próba. Jakiś zdrajca powiedział ci o straszliwej a wiecznie rozwartej krwawo ranie mego serca, i przyszła ci fantazya zmierzyć ogrom swej zasługi ogromem owej zbrodni. Hrabio! Przyjacielu i bracie! Człowiek,

którego nazwałeś, dla zgnitego zebra zamordował radość oczu moich, oporę starości moje i nadzieję kraju. Świat nie posiada dobra, któreby mogło przewrócić to złe. Hrabio Janie du Lieu! Tak: Janie du Lieu! Umysł mój się miesza. Zaprzecz temu, coś powiedział, bo... bo ci wi-rzę. Wyteżam wolę rozsądek, ale jak wilk owce dusi je bezrzum. Cała moja istota buntuje się przeciw tej wierze, ale drgając, jak przepiórka w szponach jastrzębich. Powiedz jednak, że to był żart, i znowu ci uwierzę, a przebacząc go, dam dowód, że cię cenię ponad świat cały! Powiedz: próba, a przebaczę i zapomnę. Hrabio Janie du Lieu! Słyszysz? Janie du Lieu! Powiedz, że nie należysz do tego żmijowego rodu.

CARRARO (z wściekłością).

Ach! (Opanowując się, z dumną ironią). Żmijowego? Zapewne, ukąszenia jego śmiertelne. Podłego? Kiedy moje przodki — stare pany tej starej Moleny — z dźwiękiem surm bojowych szły lać krew za grób Chrystusa, wasze — przygrywały owcom na dudkach.

KSIAŻĘ.

Nikczemniku!

CARRARO (dobywa szpadę i rzuca się ku niemu z krzykiem).

A-a-a! (Książę cofa się gwałtownie. Lapi i naj-

Biała gołąbka. Tygod. bezp. dod. do „Gazety Polskiej.“

bliżsi uprowadzają go śpiesznie wśród chaosu: wszystkie szpady obnażone, niewiadomo przeciw komu lub za kogo. Carraro ogląda się dziko i rzuca to w tę, to w ową stronę, jakby szukając ofiary: wszyscy się przed nim rozstępują. Wreszcie wybiega. Za nim Dowmunt i innych wielu).

Scena 3.

Po prawej stronie sceny siedzi książę z głową zwieszoną na piersi).

LAPI (wchodząc i zbliżając się).

Wasza wysokość! (Głośniej) Wasza wysokość!

KSIAŻĘ (podnosząc głowę).

A! To ty?

LAPI.

W pokoju sąsiednim...

KSIAŻĘ (jednocześnie).

To dziwne! to dziwne!

LAPI.

Co dziwnem jest, panie?

KSIAŻĘ.

Bywali przecie gorsi odemnie królowie i książęta, a nawet papieże.

LAPI.

Niekiedy Bóg doświadcza tylko klęskami.

KSIAŻĘ (machinalnie).

Myślisz, że doświadcza? (Zamyśla się znów).

LAPI.

Wasza wysokość!

KSIAŻĘ.

No? Czegóż tam znów?

LAPI.

Komendant zamku i naczelnik miasta pragną koniecznie widzieć waszą wysokość dla zdania sprawy z biegu wypadków i naradzenia się nad bezpieczeństwem waszej osoby. (Książę milezy). Czekają w sąsiednim pokoju, czy mogą wejść?

KSIAŻĘ.

Jeżeli taki mędrzec, jak Sosio, ręczy tylko za to, że mój widok natychmiastby ją zabił, znaczy koniec, koniec! Choćbym krzyczał, rozkazywał, klął, miotał się i modlił—Bóg mi ją zabierze. A niech tam!...

LAPI.

Wasza wysokość, ale Carraro...

KSIAŻĘ (zrywając się i chwytając go za piersi).

Co? co? zdrajco!

LAPI.

Panie! panie!

KSIAŻĘ (puszcza go).

Ach, to ty! Wybacz, przyjacielu! Zdaje się, że mi się coś temi dniami tu (wskazuje głowę) popsulo. Od tylu lat mają mnie ludzie za waryata: ano, wyrzzyli. (Opada na fotel).

LAPI.

Błagam waszą wysokość...

KSIAŻĘ.

I czegoż jeszcze chcesz?

LAPI.

Komendanci zamku i miasta, wobec strasznych okoliczności, proszą, byś ich przyjął niezwłocznie i wysłuchał.

KSIAŻĘ.

Komendanci? Straszne okoliczności? Niech wej—
dź! (Z uśmiechem). Oczywiście komendanci, nie oko-
liczności, bo te obywają się bez mego pozwolenia.

LAPI (otwiera drzwi z lewej strony tuż przy scenie).

Panowie, jego wysokość raczy was przyjąć.
(Wchodzą komendanci).

KOMENDANT MIASTA (cicho do Lapiego).

Jak to powiedzieć? Przecie to zabije...

LAPI.

Prędzej uleczy: czasem trucizna truciznę pobija.
Nie wymawiajcie tylko imienia: Carraro.

KOMENDANT ZAMKU.

Wreszcie niewolno nam milczeć.

LAPI.

Mówcie wszystko, może choć to wyrwie jego
wysokość z tej rozpaczki głuchej. (Zbliżając się do księ-
cia). Wasza wysokość: ci panowie już są.

KSIAŻĘ (drgnawszy).

Panowie? (Odwraca głowę) A! (odpowiada na ukłon).

LAPI.

Zbliżcie się, panowie. Jego wysokość pragnie się dowiedzieć o stanie rzeczy i wysłuchać zdania waszego o środkach ratunku. Mówcie wszystko otwarcie.

KOMENDANT ZAMKU.

Smiełzhyśmy prawdę, choć okropną, tać przed panem naszym?!

KSIĄŻĘ.

A któż jest panem waszym?

KOMENDANT ZAMKU.

Któż, jeśli nie jego wysokość, książę Moleny.

KSIĄŻĘ.

Zmienie więc jutro pana wraz z bielizną. (Głowa mu znów opada na piersi).

KOMENDANT MIASTA.

Prawego pana swego widzieć zawsze będę w osobie waszej wysokości!

KSIĄŻĘ (machinalnie).

Myślisz, że zawsze będziesz w osobie?..

KOMENDANT MIASTA.

I głowę dam za czapkę książęcą waszej wysokości.

KSIĄŻĘ.

Nie jestże głupim ród ludzki w najszlachetniejszych nawet uczuciach swoich: głowę za czapkę!

KOMENDANT ZAMKU.

Nie śmiemy ukrywać, że pozycja nasza wielu mogłaby się zdawać rozpaczliwą. Comarli rozbity i zabity nawet, jak mówią niektórzy. Wszystkie inne oddziały przeszły...

KSIĄŻĘ.

Głowę za czapkę!

LAPI.

Racz wysłuchać, panie!

KSIĄŻĘ.

Ach, prawda! Wciąż wam przerywam, szlachetni panowie. Wiecie jednak, że stacy stają się w końcu dziećmi, dzieci zaś zawsze bywają roztrągnięte.

KOMENDANT MIASTA.

Ludności w korbach już utrzymać niepodobna.

Czy nie byłoby więc lepiej wprowadzić niezwłocznie do zamku wszystkich, co trwają jeszcze w wierności, aczkolwiek z podelba patrzącej i pomrukującej pod nosem... nietylko własnym. Wątpliwości nie ulega, że zaraza buntu, jak to bywa zawsze w takich wypadkach...

KSIĄŻĘ.

Nie, nie zawsze, nie wszystkie. Bianca stanowiła wyjątek. Jak ta dziecina słodka umiała słuchać! Kiedy jej coś tłumaczono, na boskiem czole aż zmarszczka się malutka tworzyła. Mam przed oczyma!... (Do Lapięgo). Pamiętasz, brałem często na kolana dziewczątka swoje jedyne i opowiadałem bajki. Są głupcy, dla których czarnym oczom brak wyrazu. Zapewne, kto czytać nie umie, najwyraźniejszego nawet pisma nie zrozumie. Ja znajdowałem zawsze w tych cudnych oczętach odbicie całego ciągu swoich zmyśleń, jak w jeziorze — odbicie obłoczków wędrownych. Rycerz wchodzi do zamku zacząłowanego: co za bezmiar ciekawości i zdziwienia! Czarodziej — wielkolud, dostrzegłszy gościa nieproszonego, zgubę mu niechybną gotuje: co za błaganie przerażone o ratunek dla bohatera. Lecz oto wróg podły czołga się w pyle u nóg zwycięzcy, rykiem żebrząc o życie, i w jej oczach litość i wzgarda walczą ze sobą, zaćmiejąc nawet radość tryumfu. Rycerz dla obowiązku i niebezpieczeństw żegna damę: patrz na morze smut-

ku w tej łzawej żrenicy. A oto i ostatnie beznadziejne pożegnanie, i z tych dwóch dyamentów — co mówię? słońce — niby krople światła toczą się gradem łzy. I dziś te oczy gasną! I mnie, którego nędzemu istnieniu księżęcemu one jedyne przyświecały, wolno tylko jęczeć bezradnie: nawet spojrzeć niewolno! To straszne! to straszne! (Zakrywa oczy rękami) Ach, jakie to straszne!

LAPL.

Boże! Rzuć na moje barki połowę jego krzyża! (Do księcia) Panie, panie! Otrząśnij się z tych myśli. Może się Bóg nad tobą ulituje i nie zabierze światła twoich oczu.

KSIĄŻĘ (bezmyślnie).

Myślisz, że nie zabierze?

LAPL.

A teraz wysłuchaj ich, panie, i wydaj rozkazy. Wszyscy czekają na twoje słowo. Niema chwili do stracenia, a nikt na siebie odpowiedzialności wziąć nie chce.

KOMENDANT MIASTA.

Za parę godzin wróg będzie tu.

KSIĄŻĘ (obojętnie).

Za parę godzin dopiero?

KOMENDANT ZAMKU.

Trzeba więc zdecydować natychmiast, czy mamy bronić się za ńędzuemi murami zamku, z załogą niepewną i otoczeni ludnością zbuntowaną a pozbawieni zapasów żywności, czy wejść w układy... z nieprzyjacielem o warunki poddania się, czy wreszcie rzucić wszystko, póki czas, i szukać ratunku w ucieczce i pomocy obcej?

KOMENDANT MIASTA.

Co rozkażesz, panie?

KSIĄŻĘ (do Lapięgo).

Poślij do Medyolanu po tego Araba cudotwórcę: dam mu pół państwa, niech ją tylko...

LAPI.

Panie, panie! Z tej właśnie strony zaczął ściskać Molę pierścień śmiertelny. Rozjazdy nieprzyjacielskie tuż. Na tysiąc kroków niktby na północ od miasta nie odjechał.

KSIĄŻĘ.

Prawda, prawda. Ktoś mi to już, zdaje się, mówił. Zresztą na nicby się nie przydało...

LAPI.

Zbierz myśli, o panie, i decyduj, co robić.

KSIĄŻĘ.

Zebrać myśli? Kiedy takie ciężkie..

KOMENDANT ZAMKU.

Mamyż czekać bezczynnie?

KOMENDANT MIASTA.

Co robić, wasza wysokość, co robić?

KSIĄŻĘ (wstając).

Róbcie co chcecie... w moim imieniu. Niewiele warte, bo się nie nazywam... Lucyperem chociażby. (Odchodzi i wraca ode drzwi, jakby chciał coś powiedzieć, i machnąwszy ręką) Prawda! Przecie ona musi umrzeć. Może to i lepiej nawet? Tak, napewno lepiej (wychodząc) daleko lepiej, o! daleko lepiej!...

Scena 4.

BIANCA i LUCIA.

BIANCA (w fotelu, patrząc ku oknu).

Nawet gołębie, zaniedbane, zapomniały o mojem oknie. Ten biedny Sosio, chcąc pocieszyć, straszy mnie wciąż, że żyć będę. Jeżeli nam umrzeć, przy-

leci zaraz biały bez skazy: oto on! Jeżeli mam żyć—
odleci. Poczciwie pta-szę: jak się przymila, zagłada.
A teraz, jeżeli mam umrzeć naprawdę — odleć na-
tychmiast mój biały: i już go niema! (Cicho) Gołąbko
moja biała!

LUCIA.

Poco to? poco?

BIANCA.

Tysiące wrózb.

LUCIA.

Możnaż się tak dręczyć?

BIANCA.

Alboż to udręczenie? Pociecha. Wtedy się nie
tak myśli, nie tak czuje. To dla rozrywki, żeby przed
czasem...

LUCIA.

Wierzyszże bardziej głupiemu ptakowi, niż
mędrcewi.

BIANCA.

Ptak jest szczery, a mędrzec... się lituje.

LUCIA.

Jesteś taka młoda.

BIANCA.

Och, nie latami mierz wiek mój. Mogłażbym
żyć? Gdzież dla mnie miejsce na ziemi? Do cze-
góżbym ręce wyciągnęła? (Po chwili ciszej). Byłabym
złą mniszką. (Ciężej oddycha). A do niego?.. Przez to
morze krwi? Trzeba, trzeba... (Po chwili) Raz ply-
waka dzielnego porwał wśród morza strach nagły:
wnet ruchy rąk i nóg skłóciły się z oddechem, chaos
owładnął ciałem i duszą, i woda zalała płuca. Wyte-
żył wolę, strach skuł jej obręczem—i dopłynął. Jam
wśród odmetu rozpaczy. Kiedy myśl, że to jeszcze
nie koniec, przesyje mi duszę, jak błyskawica prze-
rażenia, czuję, że ginę, tak ginę, że niczem sto śmierci
zwykłych. Ale wnet wyteżam wiarę, i znoum spo-
kojna. Ona, co góry przenosi, miałażby nie dać rady
tej iskierce nikłej?... Ani z nim, ani bez niego...
Wierzę i jestem jak ów pływak—przy samym brzegu.
Odmęt rozpaczy za mną!... Byleby nie za wcześnie...

LUCIA.

Bianko! Przecie on ciebie nie przeżyje.

BIANCA.

Ach, tylko ja! tylko ja! (Zająkliwie) Dlatego
chcę... chcę... widzieć... zakląć... (Kładąc ręce na sercu)

Cicho, cicho, ptaku! wnet ci klatkę otworzą. (Po chwili szybko) Jeżeli sądzono mi umrzeć, nie zobaczywszy go, niech mój błękitnoskrzydły... (Z przerażeniem). Jest, jest! (Opada w głąb fotelu, przytykając oczy Po chwili bardzo cicho). Może i lepiej. Boża wola zawsze najlepsza. To pokuta za... Kto wie, co by się stało. Może tak lepiej. Więc znaczy lada godzina... Powiedz mu— i ojciec Paolo... Powiedz mu tak: „Twoja Bianca umarła, błogosławiąc cię, kochając i błagając, byś szedł na Maltę...” Nie nie! Wyraz „umarła“ postaw na końcu, bo po nim możeby już nic nie usłyszał. Powiedz tak: twoja Bianca... Rozumiesz?

LUCIA. (Kłęką i, oparłszy głowę o jej kolana, wybuchą płaczem).

BIANCA (głaszcząc jej włosy).

Cicho, nie płacz! (Nagle, odrywając rękę i zakrywając twarz dłońmi). Ach! (Opuszczając ręce). Taki dobry!... Boś ty dobry, nie zapieraj się. Kto biedne narzeczone wyposaży, nędzarzy obdarza a nawet... Kto cudze długie płaci? Kto gotów za każdego głowę nadstawić? I kto miał tyle serca dla swojej białej gołąbki, kto bił się za nią... przeciw samemu sobie? I czemu ty, taki dobry, takich strasznych rzeczy musisz dokonywać? Musisz! Chyba niema sprawiedliwości! (Szybko) Jest, jest, napewno jest! Wierzę, wierzę, tylko nie rozumiem. Czyż za słowo zwątpienia?...

Nie, nie! (Po chwili) Ojciec Paolo... dziwny mnich... Jak każde słowo jego zajada w duszę, krzepi... „Ten, kto, dawszy moc cedrowi, burzy daje siłę do złamania go, będzie miał miłosierdzie nad duszami naszymi“ I rozumie, że młoda dziewczyna. I nie mówi o życiu. Pewno wie, że w ciszy kła-ztornej modlitwy nawet moje poszalałyby!.. Ale on w szale bitw znajdzie ciszę. Przepowiedział, że go sam: ... Ale jakże inaczej, jakże inaczej!... Powiesz mu? Przysięgnij!

LUCIA.

Przysięgam.

BIANCA (gwaltownie).

Czy ty myślisz, że nie pragnę szczęścia?... Że nie chciałabym żyć? Ach, Giovanni mój! Giovanni! Giovanni! (Nagle z przerażeniem) Carlo!...

Scena 5.

Pokój księcia następcy. Przez otwarte drzwi ukazują się Księżę i Lapi.

LAPI.

I ja z tobą, panie.

KSIĄŻĘ (po chwili wahania).

Ano, chodź, kiedy chcesz. (Do portretu). No cóż chłopcze, dziwisz się? Dawnośmy się w dzień widzieli, ale dziś do północy czekać zadługo: pilno mi do ciebie. Ho, ho, o północy będziem już może na dobre razem. Byleby nas przynajmniej w sąsiedztwie ulokowano. Przebac, książę, żem ci też poraz pierwszy gościa wprowadził. (Wskazuje za siebie). Ale to też nasz. Zresztą słyszałeś: nie chciał odejść, a jakoś zawsze raźniej... Przegraliśmy i idziem do ciebie. (Opada na krzesło naprzeciw portretu przy stole. Patrzy przez chwilę na portret i kiwa głową) Książę! Coś ty za książę? Zdetronizowany! Marnie mi wyglądasz! Ze złości czy ze zmartwienia? Tak, tak! przegraliśmy, chłopcze, przez nią przegraliśmy: pewno się wciąż modliła za kochanka. Ale dajmy jej pokój: ma ona też za swoje. (Nagle bystro patrząc mu w oczy) A możeś to ty przez zemstę nasłał na nią tę miłość przekłątą? Ej, słuchaj! Łba nie czuję już, tak nim wciąż tłukę o podłogę za tę dziurę (wskazuje na portrecie), ale zrobiłbym ci ich tyle, ile razy moje siwe włosy dotknęły tu przed tobą ziemi! (Po chwili spokojnie). I poco się mamy kłócić, kiedy wszyscy ginniemy razem... (Szepem) Ach, nie! nie razem! Ona nie z nami, nie! To nie dla niej miejsce. Taka biała! taka czuła! Nie, nie! (Zamyśla się, głowa mu opada na piersi. Po chwili, przebudzony ruchem Lapiego. Z prze-

strachem się odwraca). A, to ty! Prawda, ty też z nami, stary Prawda, bez ciebie byłoby mi może tam też jak bez rąk. No, s adajże, siadaj! (Wskazuje miejsce po drugiej stronie stołu). Zagadałem się z chłopakiem swoim kochanym. (Wyjmując flakonik z zanadru). Ale pójdz-no jeszcze, stary! tam w pokoju sąsiednim dzbany z winem.. przynieś! (Lapi przynosi na tacy dzbany dwa i kubki. Do jednego ze dzbanów książę wlewa płyn z flakonika) Naprzód ten. (Wskazuje nie zatruty. Do Lapiego). Wypijmy za dobrą i prędką naszą podróż! (Pije). Wypilibyśmy twoje zdrowie, Bianco moja miła, wypilibyśmy, choć mię nienawidzisz, ale co ci po niem? Za twoją śmierć spokojną! (Pije) Pijże, stary! He, stary, co za toast? Czyśmy myśleli?.. (Nalewa wino) Ach, Bianco, Bianco! (Do syna po chwili) Gniewasz się? (Zrywa się z krzykiem) I ty musisz go spełnić (Wylewa wino na portret. Do Lapiego). Nieprawdaż stary? Cóżby to było, gdyby nawet syn mnie nie słuchał? Przed tobą wstydby mi było. (Chce lać wino w kubki). Pusty! już pusty! (Chwyta za drugi dzban) A więc na ciebie kolej! (Leje) Przed tobą, chłopcze, niema co grać komedyi. Ciebie nie oszukać, ty wiesz, widzisz. Ty na lewo, — ona na prawo, i gdybym mógł wybierać... Sam nie wiem... Tylko ona odpycha mnie tu... Kłamie: boi się — i tamby też... Zresztą myśmy warci siebie, a ona inna. Właściwie ty mój, a ona matczyna. Niech idzie do matki: co mnie do niej? No, sta-

ry, (podnosząc kubek) bywaj!.. O mało mi się głupstwo nie wyrwało. (Od miasta słyhać zgiełk. Księżę stawia kubek, otwiera okno: dolatują krzyki: „Precz z tyranem! Niech żyje książę Carlo!“) Słyszysz? Ale co tu długo gadać. (Stuka się kubkiem z Lapiem) Za... za... Alboż ja wiem za co? Co mnie teraz obchodzi? (Do portretu) Pić za twoje zbawienie? Obrazisz się za kpiny. Tam takie sądy, że ci pewno tego żebraka na karaty porachowali. Czy jego jednego? Już to lubilesz się pobawić i dziewczyną, i kubkiem, i szpadą. A za nią? Ona i bezemnie będzie zbawiona: też byłyby kpiny. (Znowu dolatują od miasta krzyki) Musi być niedaleko, kiedy tak wrzeszczy to bydło! Czego pragnę? Jakież toast wart tego nektaru. Niech żyje Carlo, książę Moleny! (Pije) Cha, cha, cha! Pijże, stary, głupi stary! I niech mu ten toast tak dobrze poskutkuje, jak nam. (Lapi pije). Widzisz, pijany trochę jestem. Ale — nie prawdaż? — wcale niezły smak. Nie przypuszczałem, ci zaś, których częstowałem, nie chwalił nigdy. Dla pewności — jeszcze po kubku! W ręce twoje, książę! (Na stronę) Do widzenia się, Bianco moja!... Pijany! Co ja gadam. (Szeptem, z rozpazą) My się nie zobaczymy. Nie, nie! O nie! (Pada na krzesło, kładzie ręce na stół, na nich głowę).

Scena 6.

Sypialnia księżniczki. Ciało Bianki na łożu: kotary rozsunięte.

CARRARO (wbiega, nie widząc Rosellego).

To ja, Bianco! to ja, twój Giovanni! To ja! Obudź się, Bianco! Przecież to niepodobieństwo! tyś nie umarła. Tak wierzyłaś, tak kochałaś... Gdzież byłaby ta Opatrzność? Bóg!.. Zwierz dziki ulitowałby się... Gdzież byłaby miłość i dobroć niebieska? Szatan zaślaby jest i zadobry na taką zemstę. Bianco, Bianco, obudź się! Spójrz na mnie! przemów! Nie bądź taka cicha! Bianco! Ty coś wiesz!... Cemu tak patrzysz na mnie temi oczyma posągu? Bianco! (Coraz głośniejsze) Bianco! Bianco! (Z krzykiem) Aaa!

ROSELLI (mocnym głosem).

Czemże jest życie, o Panie, jeśli nie zgiełkiem nieszczęść? Czemże ziemia, jeśli nie polem zaguby? Nie cyrk-że to, pełny katów i ofiar? Szczęśliwy, kto — czysty i prawy — przechodzi choćby z podium władców świata przez arenę męczeństwa. Mamże kłać chwilę, w której śnieżysty ptak niebiański, wydobywszy się z ciasnej powłoki, swobodnie rozwinął skrzydła, nie obciążone błotem padole? Mamże się miotać, że Ty, Bóg o oczach dobrotliwych, bierzesz

w dłonie wszechkojące najczystsza z dusz, drżącą jeszcze z przerażeń i wstrętów ziemskich, niby gołąbkę białą, wyrwana ze szponów jastrzębich.

CARRARO (opuszcza rękę i słucha, jakby w obłądzie).

Gołąbkę białą!...

ROSELLI.

Mamże bluźnić, że Ty, Bóg słodki, spojrzeniem swem napawasz ją wiecznością błogości i mocy? Mamże wołać: wyrwij się, o moja! z uścisku radości nad radościami, rzuć szatę promienistą, wróc do ciała, bym je pokalał dłońmi krwawemi. Mamże wznieść głos: zedrzyj, o Panie, z ramion jej skrzydła miłości swojej! strąć znowu w otchłań nędz i brudów najmilszego z aniołów swych, któremu jako zadatek szczęścia wiekuistego dałeś łaskę swoją dla mnie! Przyćmij pyłem ziemskim tę duszę, której blask, skroś mgłę marzeń mych mętnych, skroś szalę i złudzenia wieść mnie ma, jako gwiazda północna wiedzie zbłąkanego w pustyni ku słodkiej ojczyźnie. Panie, mamże kląć? Panie, o panie! mamże bluźnić?

CARRARO.

Ktoś ty?

ROSELLI.

Głos duszy twojej. (Po chwili). Iżem odszedłszy

strwonil skarb jego, — mam rzec: „otom obciążon, gdzie zaś ojciec?“ A oto ten czeka syna, a ujrzawszy go w pokorze jego i skrusze, uraduje się radością wielką i nie zapyta nawet: „cóżes uczynil ze skarbem moim?“ Powrót do Ciebie trudny. Na każdym łanie, w każdym lesie, po wszystkich rogach ulic, jak złoczyńcy czyhają na mnie namiętności moje: już nic, prócz pamięci na Ciebie do zrabowania nie zostało. I pali mnie słońce, a wichry mrozą. I usta pragnieniami spalone, wewnętrzności głodami stargane, serce stoczone robactwem tęsknot i strachów, i niepokojów. Jestem utrudzony. Powieki, jak gwichty żelazne, w dół ciężą, ręce zwisają, nogi się gną, głowa chyli, lecz idę do Ojca! W duszy mej, jak na Twojej ziemi, wieczna burza, — ale Ty uspokoisz mnie. (Carraro ze łkaniem pada na kolana przed Bianką).

Scena 7.

Apartament na zamku.

Di Massa rzuca się na przechodzącego Carrara. Dowmunt wydziera mu sztylet.

CARRARO (do hr. di Massa).

Ty?!... (Do Dowmunta) Puść go! (Znowu do hr. di Massa) Za co?

DI MASSA.

Już się ciebie nie boję, więc słów nie poskąpię, jak truciznybym ci nie poskąpił. Myślałem, że przez ciebie pomszczę się i stanę u szczytu. Myślałem, że ty pewny siebie, jak szatan, a taki lekko-myślny, że mógłbyś się nawet wspaniałomyślnym wydać, dasz mi ją naprawdę. Podły! Zmyślając imię przed nieszczęsną, mnie też kłamałeś. Zabieś ją... Wiedziałem, że cię (wskazując Downunta) złe duchy strzegą. Choćbym sztylet oparł na samem sercu twojem, jeszczeby mi coś przeszkodziło. Bądź przeklęty!...

CARRARO.

Nie wiedziałem, że ją właśnie kochał. Nie chciałem jej zabić. (Chwilę stoi z głową opuszczoną, potem wychodzi).

(Zastona).

Scena 8.

Sala tronowa. Carraro stoi.

CASTINIANI (na czele deputacyi. Do Carrara).

Wasza wysokość! Szlachta Moleny, duchowieństwo i lud cały przez usta moje dzięki korne u stóp waszych składają za wybawienie z jarzma, które, ja-

ko zmora piersi senne, gnębiło kraj ten przez lat sto. Stary gród wasz przywdział był szatę godową i rozbrzmiał krzykiem zachwytu, widząc, że ród Carrarów, jako ojciec do sierociej tak długo i stęsknionej dziatwy, wraca nareszcie do tronu, który się tak szczycił wielkimi przodkami waszej wysokości. I Molena, ran swych niepomna, była najszcześniejszym krajem ziemi, a najszcześniejszy lud świata tłoczył się radośnie dokoła tego zamku w nadziei ujrzenia na balkonie postaci ubóstwionej bohatera swego, pana i ojca. I my, wysłańcy narodu, zśliśmy do ciebie trzy dni temu z sercem wesołem. Czyż istotnie to krótkie szczęście nadziei zmienić się ma w wieczną rozpacz rzeczywistości? Miałażby wasza wysokość po najwyższem dobrodziejstwie obciążyć państwo swoje karą najstraszliwszą? Pragnąłżebyś, panie, za cześć i miłość bez granic dać ludowi swemu puszkę Pandory — walkę rodów o czapkę książęcą, którą ze wzgardą odrzucasz, jak lachman wstrętny. Lekkiemże uczyni serce waszej wysokości na dalekiej obczyźnie wieść, iż Molena, trawiona rozterkami domowemi, wpadła w ręce obce, z pani — niewolnica? Zostawiszże ją, panie, bez pana i obrońcy?

CARRARO.

Jam żołnierz Boży.

CASTINIANI.

Kraj cały rozpacza rozpacz; niepojętą waszej

wysokości. Czuje on, że przysięgi Bogu złożonej nie w duszy waszej wysokości złamać nie zdoła. Ów Polak bohaterski i brat Paolo za upewnienie nas o tem staliby się najnienawistniejszymi ludźmi pod słońcem, gdybyśmy nie musieli błogosławić ich za wierność i miłość dla waszej wysokości. Wiemy, pójdź esz, o panie nasz, walczyć za Chrystusa, ale ręka Boża da ci tam też tryumf tylko i sławę. Poczóż więc skazywać Molenę na wieczne wygnanie od twojej osoby? Daj jej stróża czasowego, a pozwól czekać powrotu twego, jako wierna narzeczona czeka kochanka.

CARRARO. (Twarz wykrzywia mu wyraz bólu. Opanowawszy się).

Jeżeli wrócę, prędzej Leggio zobaczy nowego muicha, niż Molena księcia. Tylem zawinił względem tego kraju. Nie chcę krzywdy jego. Żądacie bym wskazał człowieka? Di Massa. (Mówi zeicha do stojącego za nim oficera, który wnet wychodzi).

CASTINIANI (zachnąwszy się).

O, wasza wysokość! Jakże boleśnie rani wierne serca nasze strzała zatruta tego żartu. Boć wiem kto przejął list, w którym ten ...hrabia donosił jego wysokości... uzurpatorowi, kim jest wasza wysokość. Sługa, który widział przed kwadransem, jak druh wasz wydarł nóż skrytobójczy z ręki tego podwójnego zdrajcy.

CARRARO.

Możnaż wziąć uścisk przyjaciela za zamach?

CASTINIANI.

Molena jest twoja, o panie: komu dasz—będzie ją miał, ale... ale... któż mniej godzien?

DI MASSA (wchodzi).

A więc, obywatele Moleny, wola władcy wyznacza wam nawet rolę sędziów w komedyi...

CARRARO (przerywając mu, silnym głosem).

Guido! Powiedziano tym panom, żeś się targnął przed chwilą na moje życie, którego bym nikomu z większą radością nie powierzył, niż tobie. (Dobyszy sztyletu, do Castinianiego). Nieprawdaż, hrabio, to ostrze na samym sercu opieram?

GŁOSY.

Co chcesz czynić, panie?

CARRARO (do hr. di Massa).

Weź głównię, Guido, tylko mocno. (Do Dowmunta, który się zbliżył). Odejdź, bracie, bo znów powiedzą, tylko ty mnie ocaliłeś. (Sztylet pada z brzękiem. Do wszystkich). I to ma być człowiek, co śmierci mojej pragnie!

(Do hr. di Massa). Ach, Guido, Guido! Czemużeś ty nie okazał się podlejszym, lub ja szczęśliwszym? Gdybyś wiedział, co się w tem sercu dzieje—przez litość samą... (Do zebranych). Oto brat mój i przyjaciel. Wołaj więc, kto mnie kocha: „niech żyje Guido, książę Moleny!” (Cisza). Niktże mnie tu nie kocha?

GŁOSY (słabe).

Niech żyje Guido, książę Moleny!

DI MASSA (jednocześnie, ze zdumieniem przerażeniem).

Co to znaczy?!

CARRARO (podnosząc lewą rękę).

Odemnie pierwszego raczy przyjąć wasza wysokość hołd wierności poddańczej: na imię Zbawiciela przysięgam, że wrogi sprawiedliwości waszej moimi wrogami będą.

WSZYSCY (prócz Carrara i Dowmunta kłękają.
W gwarze słychać wyrazy).

Przysięgam... walczyć... służyć waszej wysokości... wiernie .. do ostatniego tchnienia... do ostatniej kropli krwi.

DI MASSA (z wysiłkiem).

Raczcie się podnieść, panowie. (Wszyscy się podnoszą). Jestem tak wzruszony, że brak mi słów...

CASTINIANI.

Wasza wysokość! Kraj cały sercem radosnem powita wstąpienie na tron najgodniejszego z obywateli, świetnego rycerza i genialnego polityka. W imieniu wszystkich stanów u stóp twoich składamy wraz z przysięgą i wierne serca narodu, i łany bogate Moleny. Nareszcie odetchną wszystkie piersi, i w całym państwie twojem nie znajdzie się nikt, komu z ust nie wyrwie się okrzyk: oto mamy pana, którego lud przywykł kochać, szlachta czcić i magnaci szanować. Któż nie uczuje, że wielkie szczęście go spotkało? Zdwoi się wdzięczność narodu dla dostojnego kuzyna waszej wysokości za to wyrwanie ze wszystkich ust i serc sławnego imienia waszej wysokości. Gdzież jest człowiek na łonie państw twoich, któryby nie złożył w ręce twoje, o panie, czci i wolności Moleny, gdyby los uczynił go szafarzem tych skarbów, który dziś u stóp waszej wysokości należącej doń cząstki ich nie złoży z dumą i zachwytem, że takim panu ma służyć?!

DI MASSA.

Dziękuję wspaniałomyślnemu kuzynowi memu, szlachcie, duchowieństwu i ludowi za koronę, której

tak nie czuję się godnym, jakom jej nie pożądał. Woła Carla Carrara i ludu Moleny jest dla mnie świętą. Postaram się spełnić pokładane we mnie nadzieje.

CARRARO.

Pozostaje mi więc tylko pożegnać was, panowie. Jutro opuszczam Molenę—może nazawsze.

LESCHI.

Z rozdartem sercem żegnamy waszą... dostojność życzeniami szczęścia i spokoju.

CARRARO (z wybuchem).

A więc śmierci! śmierci!... (Opanowując się do hr. Di Massa). Źle zaczęłam służbę swoją waszej wysokości, bo od prośby. Wypowiem ją wobec przedstawicieli kraju całego, by nie zostawić za sobą żadnych nieporozumień. Z dóbr swoich, które stały się jednym z powodów tego... wszystkiego, korzystać nie chcę. Wsie w hrabstwie Leggio daruję klasztorowi; grunta podmiejskie niech będą rozdane między biednych Moleny, którym matką była zmarła. Majątki pozostałe—sprzedać, sum zaś otrzymanych część czwarta opłaci wieczne nabożeństwa w kościołach miasta za dusze zgasłego księcia i jego syna. Władza waszej wysokości mogłaby nakazać modły, ale darmo księża źle i nieskutecznieby się modlili. Za resztę...

Ojciec Paolo przyjmie na siebie kierownictwo... Za całą resztę rozkaże wasza wysokość (głos mu się łamie) wzniesić grobowiec Biance z Moleny: nad zwłokami w najbliższym marmurze wykutemi, stanie Chrystus, trzymający w dłoniach gołąbkę.

Kurtyna z wolna opada.

K O N I E C

Bezpłatne dodatki tygodniowe do „Gazety Polskiej“:

kwartał IV r. 1898 (13 tomów).

<i>St. Kozłowski</i> „ Taboryci ”, dramat w pięciu aktach	tom	1
<i>T. T. Jeź</i> „ W Zaranii ”, powieść	tomów	3
<i>E. Goncourt</i> „ Bracia Zemganno ”	tom	1
<i>T. Padalica</i> „ Powieści Ukrainkie ”	„	1
<i>Edm. Rostand</i> „ Cyrano de Bergerac ”, komedia bohatera w przekładzie M. Konopnickiej i Włodz. Zagórskiego	tomów	2
<i>Irena Mrozowicka</i> „ W płytkim prądzie ”	tom	1
<i>Jonas Lie</i> „ O Zachodzie ”, powieść norweska „	„	1
<i>Klementyna z Tańskich Hofmanowa</i> „ Krystyna ”	tomów	2
<i>H Andersen</i> „ Bajki i Opowiadania ”	tom	1

Kwartał I r. 1899 (13 tomów).

<i>Józef Bliziński</i> „ Obrazki ”	tom	1
<i>Artur Gruszecki</i> „ Szarańcza ” powieść na tle stosunków szląskich	tomów	3
<i>Juliusz Breton</i> „ Artysta ” (Savarette)	tom	1
<i>Jan Lam</i> „ Wielki Świat Capowic ”	tomów	2
„ Głowy do pozłoty ”	tomów	4
<i>J. W. Goethe</i> „ Reineke-Lis ”	tom	1
<i>Stanisław Pilecki</i> „ Dwa głosy ”	tom	1

Nowi prenumeratorzy „Gazety Polskiej” mogą nabywać powyższe komplety kwartalne po rb. 2,40 w Warszawie, z przesyłką pocztową rb. 3.

W kwartale II-gim roku 1899 wyszły następujące bezpłatne dodatki tygodniowe do „Gazety Polskiej“:

<i>Marya Konopnicka</i>	„Pod prawem“ powieść	tom	1
<i>Teofil Lenartowicz</i>	„Poezye“	tom	1
<i>Marya Konopnicka</i>	„Nowele“	tom	1
<i>Adolf Dygasński</i>	„W Kielcach“ opowia- dania i uwagi o czasach szkolnych	tom	1
<i>Marya Konopnicka</i>	„Nowele“	tom	1
<i>Józefat Nowiński</i>	„Biała gołąbka“ poemat dramatyczny w 5 aktach	tom	2

Nowo przybywający abonenci otrzymują niezwłocznie wszystkie te dodatki.

Zwracamy uwagę na poprzednią stronę.



20998/2